

HARLEQUIN®

Gończy Romans® Duo

Gończy  
Romans Duo

Męczyzna jej życia  
Romantyczna kryjówka

Emilie Rose  
Jan Colley

ISBN 978-83-773303-1-3 CENA 13,90 zł

Emilie Rose *Męczyzna jej życia*  
Jan Colley *Romantyczna kryjówka*



# *Emilie Rose*



*Mężczyzna jej życia*

# PROLOG

- I w końcu dla mojej córki Nadii. - Richards, długoletni prawnik rodziny, przerwał na chwilę odczytywanie testamentu Everetta Kincaida i spojrzał w oczy Nadii Kincaid siedzącej po drugiej stronie długiego stołu.

Dziewczyna była bardzo spięta. Jej relacje ze zmarłym właśnie apodyktycznym ojcem stanowiły mieszankę miłości i nienawiści. Uważała, że usłyszana dotychczas część dziwnego testamentu na najbliższy rok uczyni życie jej starszych braci czystym koszmarem. Ogarnął ją strach, jak też jej kochany tatuś zamierzał namieszać w jej życiu.

Richards powrócił wzrokiem do dokumentu.

- Twoja praca i poświęcenie dla Linii Rejsowych Kincaid zasługują na uznanie...

Nadia zeszywniała jeszcze bardziej. Kiepsko. Kiedy ojciec zaczynał od komplementów, kończył obelgami.

- ...lecz twoje życie składa się wyłącznie z pracy i towarzystwa bezmyślnych przyjaciół. Otaczasz się ludźmi nietroszczącymi się o przyszłość, nigdy niezastanawiającymi się, co by się z nimi stało bez ich funduszy powierniczych, i nie planującymi niczego dalej niż do najbliższej imprezy.

Nadia skrzywiła się, czując celność tego stwierdzenia. Ojciec nie zrozumiałby, że lubiła swoich egocentrycznych przyjaciół dlatego, że byli zbyt zajęci własnymi neurozami, by zwrócić uwagę na jej kłopoty ze sobą.

- Masz dwadzieścia dziewięć lat, Nadiu. Najwyższy czas dorosnąć, zacząć odpowiadać za swoje czyny i odkryć, czego chcesz od życia. Mając to na myśli, wyrzucam cię z gniazda.

Lodowaty dreszcz przeleciał jej po kręgosłupie.

- Wyrzucą mnie z gniazda? Co to znaczy?

- Ze skutkiem natychmiastowym - dokończył Richards. - Od tej chwili jesteś

na bezpłatnym urlopie ze stanowiska dyrektora działu logistyki w Liniach Rejsowych Kincaid i tracisz dostęp do wszelkiej własności LRK oraz do Kincaid Manor.

Czuła się kompletnie oszołomiona. Co ma robić? Dokąd pójść? Jednym pościągnięciem pióra ojciec odebrał jej pracę, dom i wszelkie możliwości ratunku. Dlaczego?!

- Zamieszkas na trzysta sześćdziesiąt pięć dni w moim apartamencie w Dallas.

- Tata miał apartament w Dallas?!

Richards uciszył ją uniesieniem dłoni.

- Nie wolno ci szukać zatrudnienia ani urządać przyjęć w tym apartamencie. Oczekuję, że znajdziesz sobie towarzystwo osób zupełnie innej jakości niż dotychczas. By mieć pewność, że nie będziesz się codziennie bawić, każdej nocy masz przebywać w apartamencie pomiędzy północą a szóstą rano.

- Od północy? Kto ja jestem? Jakiś Kopciuszek?

- Jeśli nie wypełnisz podanych warunków co do joty - ciągnął Richards monotonicznie, jak zawsze - stracisz wszystko. Twoi bracia także.

- Niewiarygodne! Uziemia mnie i odsyła do pokoju - zaznaczyła cudzośćów ruchem palców - jak małe dziecko! To śmieszne, nie zrobię tego.

- Nie masz wyboru - odezwał się Mitch, spokojnie i miękko.

- Nie mogę przecież zrezygnować z pracy, domu i przyjaciół.

- Owszem, możesz. - Rand był najstarszy. To do niego zwracała się zawsze w razie kłopotów, dopóki pięć lat temu nie porzucił i jej, i LRK. - Słyszałaś Richardsa. Jeśli tego nie zrobisz, stracisz wszystko. Pomożemy ci, razem z Mitchem.

- Jak? Obaj musicie pozostać w Miami, a ja będę na zesłaniu w Dallas.

- To jeszcze nie Ocean Arktyczny. Zaopatrzenie nie będzie stanowiło trudności. - Mitch delikatnie uściśnął jej ramię.

- Ale to idiotyczne!

Richards odchrząknął.

- Przepraszam, ale jest więcej zastrzeżeń.

Czy mogło być jeszcze gorzej?

Nadia odetchnęła dla uspokojenia i dała znak prawnikowi, by czytał dalej.

- Zbyt długo byłaś trzymana pod kloszem. W przeciwieństwie do braci nigdy nie próbowałaś żyć poza Kincaid Manor, nawet w czasie studiów. Czas, byś się nauczyła sama o siebie zadbać, Nadiu, bo ani ja, ani twoi bracia nie zawsze będziemy pod ręką, żeby cię wyciągać z kłopotów.

Zaczerwieniła się ze wstydu. Fakt, że kilka razy poprosiła o pomoc. Też mi coś!

- Nie będziesz miała pokojówki, kucharza ani szofera.

Zabrakło jej tchu. Pomijając fakt, że zapewne zginie z głodu, nie miała prawa jazdy, bo go nie potrzebowała.

- Dostaniesz samochód i zaczniesz robić prawo jazdy. Nauczysz się też żyć za dwa tysiące miesięcznie.

- Wyznacza mi kieszonkowe?! - Więcej wydawała na jedną sukienkę.

- Ponieważ za mieszkanie płacić nie będziesz, ta suma powinna z nadmiarem wystarczyć na zaspokojenie twoich podstawowych potrzeb, zapłacenie rachunków i wszystko inne. Skromny budżet powinien ci pomóc lepiej zrozumieć pracowników i klientów LRK.

Uważał, że ona nie potrafi żyć za określoną sumę? W porządku, nigdy nie była w takiej sytuacji, ale jaka w tym trudność? Jest, do cholery, wprawną księgową. Na co dzień zarządza wielomilionowym majątkiem LRK.

- To szaleństwo. Czy tata zwariował? A w ogóle, to czy może coś takiego zrobić?

- Każdy może zrobić ze swoim majątkiem, co zechce - rzekł Richards. - Ojciec nie żąda od ciebie niczego nielegalnego ani niemoralnego. Przypomnę, że jeśli nie wypełnisz dokładnie warunków jego woli, to i ty, i twoi bracia stracie Linie Rejsowe Kincaid, wszystkie nieruchomości rozsiane po świecie oraz cały jego pa-

kiet akcji, które zostaną sprzedane Mardi Gras Cruising, głównemu konkurentowi LRK, za sumę jednego dolara. Pozostanie wam wyłącznie to, co posiadacie osobiście.

Ona nie miała nic. Wskutek starań, by zająć czymś umysł i ciało na tyle, by wieczorem padać z wyczerpania, praktycznie żyła od wypłaty do wypłaty.

- Nie musisz tego podkreślać. Tata bardzo jasno nam pokazał, że jeśli którekolwiek z nas nawali, stracimy wszyscy. Wszystko. Tylko dlaczego Mardi Gras? Ich podstępne zagrania kosztowały nas poważną część rynku.

- Everett nie wyjaśnił mi powodów swoich decyzji w tej materii.

Rand postukał palcami w blat.

- Nadiu, choć bardzo mi się podoba wizja, jak tata przewracałby się w grobie, gdyby Mardi Gras wymalowała swój emblemat na statkach LRK, wcale nie chcę, żeby ci łajdacy tym razem wygrali.

Mitch także skinął głową.

- Zgadzam się. Musimy walczyć. Zbyt wiele mamy do stracenia, by oddać to walkowerem.

Dobrze wiedziała, że stawką są trzy miliardy. Przyjrzała się braciom. Rand ułożył sobie życie, ale dla Mitcha LRK były wszystkim. Rezygnacja na twarzach obu braci uświadomiła jej, że spodziewali się po niej totalnej porażki. To bolało, ale czy ona kiedykolwiek zrobiła coś dla nich? Zawsze to oni jej pomagali, nic w zamian nie dostając.

Wiedziała, że to kolejny test. Everett Kincaid był mistrzem w wypróbowywaniu swoich dzieci - zwłaszcza jej, bo przypominała mu zmarłą żonę. Zawsze uważał, że Nadia w końcu się załamie, tak jak jej matka. Jaki mógłby być inny powód zmuszania jej do ponaddziesięcioletniej terapii, a teraz do roku w samotności i zamknięciu?

Udowodni jednak, jak bardzo się mylił. Przetrwa rok bez pracy, przyjaciół i bezpieczeństwa w rodzinie. Kiedy jedenaście lat temu jej życie się rozpadło, bracia

byli przy niej. Teraz jej kolej. Uda jej się. W końcu odziedziczyła po ojcu nie tylko głowę do interesów, ale i upór. Będzie po prostu musiała znaleźć inny sposób na utrzymanie strasznych wspomnień w ryzach niż zatopienie się w pracy i nocnych szaleństwach.

Wyprostowała się, uniosła brodę i ścisnęła drżące kolana.

- Kiedy wyjeżdżam?

RS

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cicho jak w grobowcu. Po ośmiu tygodniach odgrywania roli Suzy Homemaker\* Nadia Kincaid czuła się w luksusowym apartamencie jak zamurowana żywcem.

\* Suzy Homemaker - personifikacja kobiety entuzjastycznie przyjmującej rolę kury domowej. W latach 60. uosabiała tę postać bardzo popularna w USA lalka o tymże imieniu. (*przyp. tłum.*).

Nie miała nawet sąsiadów, którzy mogliby odwrócić jej uwagę. Odkąd się sprowadziła, drugi apartament w wieżowcu stał pusty, na piętrach poniżej znajdowały się tylko siedziby firm, gdzie na jej wizyty spoglądano niechętnym okiem, nawet jeśli przynosiła swoje efekty wypróbowywania przepisów na ciasteczka.

Złożyła starannie ściereczkę do kurzu, oparła dłonie na biodrach i zapatrzyła się na półki wypełnione przysyłanymi przez Randa książkami i filmami. Obiecała sobie, że stanie w Dallas na własnych nogach. Nie chciała przyjmować pomocy od braci, jednak nie miała też ochoty zginąć z głodu. Poddała się więc i przyjęła jego prezent. Posiłkując się książkami, kasetami i kablówką, nauczyła się gotować. A ponieważ okazało się, że przy tym zajęciu robi się niezły bałagan, nauczyła się sprzątać. Zdołała nawet opanować sztukę prania oraz wiele innych drobnych czynności, które dotychczas za nią wykonywano. Była dumna, że przydarzyło jej się tylko kilka katastrof.

No to masz, tato. Dwa miesiące, a ja jeszcze nie padłam. Założę się, że tego się nie spodziewałeś.

Zaliczyła praktycznie każdy bestseller i każdy film z ostatnich dziesięciu lat i nawet znalazła sklep spożywczy oferujący dostawy do centrum Dallas. Odkryła, że ta usługa jest tańsza niż wyprawy taksówką na zakupy. Jedyne wyzwanie, którego jeszcze nie podjęła, to były lekcje jazdy. Nie czuła się gotowa, by usiąść za kierownicą. Wystarczyła jej katastrofa, którą spowodowała z siedzenia pasażera.



Wspomnienia pchnęły ją do natychmiastowego poszukiwania czegoś odwracającego uwagę, tak jak zawsze, gdy wracała przeszłość. Schwyciła z powrotem ściereczkę i skupiła się na swojej złości na ojca.

Po raz kolejny jej nie docenił, zwalając na nią tę głupią robotę polegającą na siedzeniu w apartamencie i szukaniu samej siebie, jednocześnie jej braciom powierzając zadania o wiele poważniejsze.

Rand został zmuszony do powrotu do Linii Rejsowych Kincaid z pięcioletniego, dobrowolnego zesłania i objęcia po ojcu fotela prezesa. Mitch miał się stać ojcem dla nieślubnego dziecka Everetta, z tym że nie musiał rezygnować ze stanowiska księgowego w firmie.

A ona miała się przyglądać, jak jej paznokcie rosną.

Lecz pod gniewem czaiła się rozpacz, a myśli biegly w niewłaściwą stronę w najbardziej nieoczekiwanych momentach, jak właśnie teraz.

Owszem, była wściekła na ojca, że traktował ją jak bezrozumne dziecko, lecz jednocześnie bolało ją, że już nie będzie zaciekłych kłótni z nim, żadnych pretensji o podważanie lub nawet zmienianie jej decyzji w pracy, w dodatku za jej plecami albo nad jej głową. Żadnych starć nad papierami przy śniadaniu w Kincaid Manor, żadnych wykładów na temat właściwego zachowania, bezustannej świadomości, czy to w pracy, czy na przyjęciu, że jest przez niego obserwowana i że on tylko czeka, by się jej powinęła noga i trzeba będzie ją ratować.

Trzy miesiące temu irytowała ją ta tłamsząca obserwacja. Musiała jednak przyznać, że przez lata zebrało się dość popełnionych przez nią szaleństw, by to uzasadnić. Teraz za to brakowało jej poczucia, że komuś na niej zależy.

Tyle tylko, kochana, powiedziała do siebie, że wcale nie chcesz się z nikim zbliżyć. Związek oznacza stratę, a ta ból.

Było jej coraz trudniej. Zniosła wszelkie szykany ze strony bogini prac domowych. Jej mózg ulegał atrofii. Co jeszcze mogła robić? Testament zabraniał jej podejmowania pracy, jednak do wypełnienia dnia potrzebowała czegoś więcej niż

gotowanie, sprzątanie, siedzenie z książką albo przed telewizorem i czekanie na jakiegokolwiek odgłosy z klatki schodowej.

Nie wątpiła, że ochroniarze oraz Ella, sprzątaczką sąsiadów, podejrzewali, że ich śledzi, bo pospiesznie wychodziła pogadać za każdym razem, gdy usłyszała otwierające się drzwi windy.

Spojrzała w okno, ale w pociemniałej już szybie zobaczyła tylko własne odbicie, a nie soczystą zieleń, jaskrawe kwiaty i pomidory wypełniające trzy spore skrzynki podarowane jej przez Mitcha. Popatrzyła na zegar po dziadku. Jedenasta? Jeszcze ten dzień nie minął? Nie mając pracy ani żadnych kontaktów z ludźmi, odnosiła wrażenie, że czas wlecze się niemiłosiernie.

Musiała znaleźć jakieś hobby, ale z tym trzeba było poczekać do rana, a czym wypełnić godziny, zanim nadejdzie senność? Za późno już było, by dzwonić do braci po najświeższe wieści o ich romansach. Obaj się zakochali już w trakcie jej odosobnienia i byli na najlepszej drodze do wypełnienia dotyczących ich warunków testamentu. Ich szczęście tylko podkreślało, że wygrana lub klęska zależały już tylko od niej. I bracia, i ojciec spodziewali się, że nie da rady. Sięgnęła po płytę z treningiem kick-boxingu. Jeśli powtórzy ćwiczenia dwukrotnie, powinna się wystarczająco zmęczyć.

Stłumiony odgłos uderzenia zatrzymał ją w pół kroku do odtwarzacza DVD. Czy to w holu? Jeśli tak, to stanowczo za późno na przychodzącą dwa razy w tygodniu sprzątaczkę sąsiadów, a pojawienie się włamywacza było skrajnie nieprawdopodobne.

A więc co to było? Wyszła do przedpokoju i zerknęła przez wizjer.

Po drugiej stronie holu wysoki blondyn, odwrócony tyłem, wsuwał klucz do zamka. W lewej ręce mężczyzna trzymał gustowną aktówkę, obok jego prawej nogi, na podłodze, spoczywała elegancka torba od Louisa Vuittona.

Jej wiecznie nieobecny sąsiad? Alleluja! Ktoś nowy do rozmowy. Szybko otwarła drzwi. Mężczyzna odwrócił się błyskawicznie, jakby przestraszony.

To niemożliwe!

Nadię odrzuciło, aż prawie się przewróciła. Serce jej waliło, a myśli wirowały jak szalone.

Nie.

Nie Lucas.

Lucas nie żyje.

Lecz stojący przed nią mężczyzna był sobowtórem jej zmarłego męża.

- Nadia? - odezwał się jakże znajomym głosem.

Nie była w stanie nawet drgnąć. Oddychać. Mrugnąć. Kompletnie osłupiała wpatrywała się w stojącą przed nią postać.

- Pochyl głowę.

Aktówka upadła na podłogę. Silna dłoń, oparta z tyłu głowy Nadii, zmusiła ją do przyciśnięcia brody do piersi. Pod dziewczyną ugięły się nogi, ciężko opadła na kolana. Oparła czoło na wykładzinie Aubusson\*. W głowie miała totalny zamęt.

Stało się. W końcu się załamałaś, tak jak się tego po tobie spodziewał ojciec. A kiedy otworzysz oczy, zobaczysz obcego. Nie swojego zmarłego męża. Może nawet w ogóle nikogo tu nie ma.

*\* Firma Aubusson handluje ręcznie tkanymi, luksusowymi dywanami. (przyp. tłum.).*

Tylko że oparta na jej karku silna dłoń była bardzo, bardzo realna i wyjątkowo znajoma.

Kiedy w końcu hol przestał się chwiać i wirować wokół niej, odsunęła tę rękę i wyprostowała się.

Mruganie nie pomogło. Klęczący obok mężczyzna nadal wyglądał jak Lucas Stone. Twarz mu zeszczupełniała, miał więcej zmarszczek, lecz oczy były te same, srebrzystobłękitne. Także nieco skrzywiony w prawo nos i zdecydowana linia szczęki należały do Lucasa.

- Ty... ty nie żyjesz...

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem, było inaczej.

- Tata mi powiedział... Nie byłam na pogrzebie... Ja... Powiedział mi, że umarłeś. Od... we wraku, z ran...

Krzywiąc się, sobowtór Lucasa przysiadł na piętach.

- Kincaid powiedział ci, że nie żyję?

W ustach jej zaschło. Skinęła tylko głową.

- Sukinsyn! - Zerwał się na równe nogi i podał jej rękę.

Zawahała się. Skorzystanie z tej dłoni byłoby krokiem w szaleństwo. Powoli podniosła się o własnych siłach i rozejrzała po holu w poszukiwaniu panów w białych fartuchach. Zobaczyła tylko uchylone drzwi windy i pustą kabinę za nimi.

- To się nie dzieje naprawdę. Nie jesteś prawdziwy. Jutro się obudzę i...

Blond iluzja podążyła za nią do apartamentu. O Boże! Musi porozmawiać ze swoim psychiatrą... Tylko że w zeszłym tygodniu go zwolniła... Poważny błąd.

- Nie mogę uwierzyć, że twój ojciec powiedział ci, że nie żyję. Co jeszcze ci nagadał?

- N... nic.

Zatrzymał się tuż przy niej. Wyczuła smugę woni... Kenneth Cole Black\*? Czy halucynacje pachną?

*\* Kenneth Cole Black - luksusowa woda kolońska. (przyp. tłum.).*

Niepewnie wyciągnęła rękę. Drżące palce nie trafiły na spodziewaną pustkę, tylko na twardą klatkę piersiową w niebieskiej koszuli. Poczowała silne uderzenia serca.

On żyje.

Ogarnęła ją fala dzikiej radości, jej serce oszalało. Już była gotowa rzucić mu się na szyję, lecz znienacka euforia zgasła niczym zużyty fajerwerk. Uderzyła go w ramię.

- Jeśli żyjesz, to znaczy, że mnie porzuciłeś, draniu.

- Chciałaś, żebym odszedł - odparł spokojnie.

Aż się zachłysnęła.

- Oszalałaś? Ryzykowałam wydziedziczenie, byle cię poślubić. Dlaczego miałabym chcieć się ciebie pozbyć?

- Twój ojciec powiedział, że żałowałaś swojego „drobnego buntu”. Uznałaś, że slumsy nie są dla ciebie i wstydzisz się męża robotnika. Zażądałaś rozwodu.

- Niczego takiego nie zrobiłam.

- Twierdził też, że nie mogłaś znieść mojego widoku, bo... - Na szczęście Lucasa zadrgał mięsień. - Bo zabiłem nasze dziecko i wraz z nim wszelkie twoje uczucia do mnie.

Przymknęła oczy i przycisnęła dłoń do brzucha - pustego, płaskiego - zebrała całą odwagę i popatrzyła na ukochaną kiedyś twarz.

- Lucas, to nie ty zakończyłeś życie naszego dziecka, tylko ja.

Przez jego twarz przemknęło zaskoczenie, a potem stwardniała na kamień.

- Co ty mówisz? Co ty zrobiłaś, Nadiu?

Mróz w jego głosie i oczach zaskoczył ją. Nagle zrozumiała i aż się jej włosy zjeżyły ze zgrozy.

- Myślisz, że przerwałam ciążę? Nigdy... Miałam na myśli, że to ja spowodowałam nasz wypadek.

Rozluźnił się nieco.

- To ja prowadziłem.

Winił siebie? Ale ona dobrze wiedziała, kto naprawdę ponosił winę. Ile to razy przeklinała siebie, że nie poczekała z amatorami dziesięciu minut. Jej egoistyczny brak troski o kogokolwiek zmienił wszystko. W kilka sekund przekonała się, że najważniejszej rzeczy na świecie nie da się kupić za żadne pieniądze ani też ojciec nie jest w stanie naprawić wszystkiego.

- Trzymałam rękę w twoich spodniach.

- Przegapiłem znak stop.

- Bo cię rozpraszałam. - Zaciśnęła dłoń na jego przedramieniu, poczuła ruch twardych mięśni. - Lucas, przez tydzień leżałam w śpiączce. Nie prosiłam, byś przyszedł, bo nie mogłam.

Przyjrzał jej się uważnie. Nagle oczy wypełnił mu gniew.

- Ten kłamliwy drań!

- Kto?

- Twój ojciec. - Lucas wypluł te słowa z nienawiścią.

Everett Kincaid miał sporo na sumieniu, jasno też dał do zrozumienia, że jest gotów wydziedziczyć Nadię, jeśli wyjdzie za mąż. Odmówił nawet uczestnictwa w tej małej uroczystości. Po wypadku zachowywał się, jakby nic takiego nigdy nie zostało wypowiedziane. Wierzyła, że niemal ją straciwszy, uświadomił sobie, że naprawdę ją kocha. Powinna być mądrzejsza. Jej ojciec nigdy się nie wycofywał ani nie przyznawał do błędu. Postrzegał Lucasa jako pomyłkę i tak jak wszelkie jej inne pomyłki „naprawił” ją na swój sposób. Zły. Bardziej zaskoczyło ją, że Lucas mu na to pozwolił.

- Gdybyś mnie kochał i tak byś mnie odwiedził.

- Nie mogłem.

- Daj spokój. Zawsze byłeś najbardziej zdeterminowany spośród znanych mi ludzi. Nie wierzę, że nie znalazłbyś sposobu na wślizgnięcie się do mojego pokoju. Leżałam na intensywnej terapii podłączona do miliona aparatów. Nie miałam szans się nigdzie schować.

Po raz pierwszy odwrócił się tyłem. Stał sztywno i zaciskał pięści.

- Byłem sparaliżowany od pasa w dół. Lekarze dawali mi znikome szanse na to, że kiedykolwiek będę chodzić.

Nie była w stanie wydać z siebie głosu. Zmierzyła wzrokiem jego plecy. Lucas był tak aktywnym człowiekiem. Właśnie to jego ciało skusiło ją, gdy go zobaczyła w ekipie aranżującej krajobraz posiadłości Kincaid Manor.

- Musiałeś się czuć zdruzgotany, że niebędziesz w stanie pomagać matce i

siostram.

Lucas odwrócił się z surowym wyrazem twarzy.

- Twój ojciec oznajmił mi, że nie czujesz się na siłach, by pozostać w związku z kaleką.

- A ty mu uwierzyłeś? Zignorowałaś „na dobre i na złe” z mojej przysięgi?

- Przez całe życie byłaś rozpieszczoną królową. Czy miałem sądzić, że chcesz żyć w biedzie i służyć za pielęgniarkę mężczyźnie, który samodzielnie nie może się nawet wysikać? Nie.

Wzdrygnęła się, a po chwili zawrzała gniewem. Dlaczego wszyscy mężczyźni w jej życiu uważali ją za bezużyteczną ofermę? Może i popełniła kilka głupich błędów, jednak... Ani ojciec, ani Lucas nie mieli prawa podejmować za nią decyzji takiej wagi.

- Powinieneś dać mi szansę wykazania się, a nie z góry zakładać, że przegram.

Nie mogła go sobie wyobrazić bezradnego. Sprawiał teraz wrażenie nawet sprawniejszego niż jedenaście lat temu. W dodatku, jeśli wzrok jej nie mylił, garnitur miał od Hermèsa, a buty od Prady. Albo Lucas już nie był z trudem wiążącym koniec z końcem robotnikiem, albo odziedziczył okazały majątek.

- Teraz nie jesteś sparaliżowany.

- Dzięki wielu operacjom i długim miesiącom rehabilitacji.

- I mieszkasz tutaj. - Zatoczyła dłonią, wskazując piętro najbogatszych. -

Dlaczego?

- Jestem właścicielem budynku.

- Posiadasz pięćdziesięciopiętrową nieruchomość w najdroższej części centrum Dallas? - Naprawdę duże pieniądze.

- Tak. - Duma i pewność siebie w jego głosie były oczywiste. - A ty skąd się tu wzięłaś?

- To jest... był apartament mojego ojca.

Oczy mu się zwały.

- Mój plenipotent sprzedał to mieszkanie dyrektorowi firmy inwestycyjnej.
- Nie, mój ojciec kupił je, posługując się fikcyjną firmą.

Po odczytaniu testamentu Mitch znalazł tę ciekawą informację. Zastanawiali się, dlaczego tata chciał ukryć własność tego miejsca nawet przed synem, swoją prawą ręką. Nagle dotarło do niej i nogi się pod nią ugięły.

- Mój ojciec to zaaranżował.

- Co takiego?

- To spotkanie. Tata umarł. Jego testament wymaga ode mnie siedzenia w tym apartamencie przez rok. Musiał wiedzieć, że w końcu na ciebie wpadnę. Po co to zrobił?

Co też mówił ich prawnik? Coś o tym, że ojciec zdał sobie sprawę z kilku popełnionych błędów, które miał nadzieję naprawić. Fakt, że jego manipulacje dały miłość i Randowi, i Mitchowi.

Nagle stanęła w pół kroku.

- Może chce nas znów połączyć?

Lucas prychnął wzgardliwie.

- Bez szans.

- To musi być to. Kupno przez tatę apartamentu naprzeciwko twojego, w budynku będącym twoją własnością, to zbyt duży zbieg okoliczności.

- Nadiu, twój ojciec zapłacił mi, żebym zniknął z twojego życia i nigdy się z tobą nie kontaktował. Groził też, że zrujnuje i mnie, i moją rodzinę, jeśli kiedykolwiek to zrobię. Nie próbowałby nas połączyć.

Załamala się, czując, jak ogarnia ją chłód. Kupowanie sobie ludzi było ulubionym sposobem jej ojca na pozbywanie się niewygodnych osób.

- Wzięłaś pieniądze za porzucenie mnie?

Lucas potarł szczękę i zaczerwienił się.

- Twierdził, że ty tego chciałaś.



- Ile?

- Nadiu...

- Ile było warte zapomnienie o mnie, Lucas?

- Nigdy o tobie nie zapomniałem ani o naszym dziecku.

- Ile? - powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

- Pokrył koszty moich operacji i rehabilitacji, zaoferował też i mnie, i moim siostrzom studia na dowolnych uniwersytetach.

- Podaj mi sumę. Chcę wiedzieć dokładnie, ile warta była dla ciebie moja miłość.

Westchnął z trudem.

- Z grubsza dwa miliony.

Zamknęła oczy, czując, jak zalewa ją fala bólu, rozczarowania i poczucia zdrady. Jej ojciec wcale nie chciał, by to spotkanie było radosne. Pragnął, by się przekonała, że mężczyzna, którego przez dziesięć lat stawiała na piedestale jako symbol perfekcyjnej miłości, nie jest wcale lepszy niż banda żerujących na niej chciwych pasożytów.

Czy nikt nie kochał jej bardziej od pieniędzy?

Myślała, że Lucas. Błąd. Ta wiedza spowodowała, że poczuła się mała, nieważna i niechciana. To bolało, Boże, jak bardzo. Ojciec miał rację. Lucas był jej największą pomyłką.

- Wolałabym, żebyś pozostał martwy. - Przycisnęła palce do bolesnego, pulsującego miejsca na skroni i skrzywiła się. - Nie, wcale nie. Wolałabym tylko już nigdy cię nie spotkać. Powiem ci jednak coś, Lucasie Stone. Fakt, że wolałeś pieniądze ode mnie, wcale nie czyni cię kimś wyjątkowym, tylko jednym z wielu, i kimś, kogo nie chcę znać. Wyjdz.

- Nadiu...

- Wynoś się! Zanim wezwę ochronę.

- To moi pracownicy, nie wyrzucą mnie. - Podszedł bliżej. - Nie wiń mnie za

manipulacje twojego ojca.

- To nie ma nic wspólnego z moim ojcem, który bez wątpienia jest... był aroganckim, podstępny, wtrącającym się we wszystko łajdakiem i mam nadzieję, że teraz smaży się w piekle. To ty mnie zdradziłeś. Wybrałeś pieniądze, a nie mnie, i pozostawiłeś mnie, bym samotnie opłakiwała ciebie i nasze dziecko. Wiesz, jak byłam blisko...

Powstrzymała się w ostatniej chwili. Nie, nie da mu aż takiej władzy nad sobą.

- Jesteś samolubnym, sadystycznym draniem, Lucasie Stone. I nie chcę cię już nigdy widzieć. Teraz wyjdź.

Wpatrywał się w nią tak długo, że już myślała o zrealizowaniu pogrożki i wezwaniu pomocy. Choć nie bardzo wiedziała, gdzie się zwrócić, jeśli ochrona budynku zawiedzie.

Może bracia? Nie, musiała się nauczyć samodzielnie sobie radzić z problemami.

W końcu minął ją, wychodząc, i po raz kolejny łamiąc jej serce.

Dlatego że jego śmierć nie bolała nawet w części tak bardzo jak wiedza, że dobrowolnie ją zostawił...

Jakby nic nie znaczyła.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Lucas Stone chciałby zabić podstępного sukinsyna, który ukradł mu żonę. Lecz skoro Everett Kincaid już nie żył, zemsta była nieosiągalna.

A może?

Kincaid, ten drań, mógł być wykonawcą intrygi, ale jego synowie, Rand i Mitch, byli równie jak on przekonani, że Lucas nie jest odpowiedni dla ich rozpierzczanej siostrzyczki. Przyszli na ślub, lecz dopilnowali, by pan młody wiedział, że zrobili to nie dlatego, że go zaakceptowali, ale tylko dla Nadii.

Po co rezygnować z planowanej od jedenastu lat zemsty, skoro wciąż mógł mieć satysfakcję z wykazania Kincaidom, jak bardzo się mylili?

Szczęk zasuwy sprowadził go na ziemię. Patrzył na drzwi, które Nadia zatrasnęła mu przed nosem. Jeśli to w ogóle możliwe, była teraz jeszcze piękniejsza niż tamta dziewczyna, którą była przed laty. Znikła gdzieś dziecięca miękkość, ujawniając zdecydowane rysy. Był to ten typ piękności, która nigdy nie zanika. Przynajmniej tak twierdziła jego matka po pierwszym spotkaniu z Nadią. Jego rodzina uwielbiała ją... do chwili, gdy podobno go porzuciła.

Nie wątpił w słowa żony. Kincaid nieraz próbował się pozbyć Lucasa, jeszcze przed ślubem. Lucas oparł mu się za każdym razem poza ostatnim, gdy okazał słabość. Obawiał się wtedy, że stał się ciężarem dla i tak przeciążonej matki. Był też wściekły na Nadię i zraniony jej zdradą. Chciał się za to odegrać, a odebranie im majątku wydawało mu się jedyną dostępną metodą.

Nie wierzył za to w ogóle w fantazje Nadii o altruistycznych motywach Kincaida. Jeśli to jej ojciec zaaranżował ich spotkanie, miało ono na celu przypomnieć Lucasowi, co stracił, a nie połączyć ich z powrotem.

Jak Kincaid odkrył, że Lucas jest właścicielem budynku? Podobnie jak w przypadku większości swoich firm zarządzał KingPin Electronics - oficjalną właścicielką - telekonferencyjnie i poprzez polecenia dla dyrektorów. Trzymał się z da-

la od mediów. Najmłodsza siostra nazywała go „łodzią podwodną”, a jemu podobał się wizerunek kogoś pozostającego w ukryciu, pod powierzchnią, aż do chwili wykonania zadania.

Przekręcił klucz pozostawiony w zamku, gdy Nadia go zaskoczyła. Zebrał torby i wszedł do apartamentu. Rozejrzał się po luksusowym salonie, w którym każdy przedmiot był jawnym dowodem na to, że wyciągnął siebie i rodzinę z biedy.

Zdumiewające, ile ambicji potrafi obudzić furia połączona z nienawiścią. Przez ostatnie siedem lat przejmował upadające firmy, przekształcając je i sprzedając z zyskiem, aż w końcu miał dość pieniędzy, by wejść do ligi Everetta Kincaida.

Od czterdziestu miesięcy starannie wyszukiwał dostawców swojego wroga, wykupywał ich i podbijał jak najwyżej ceny na artykuły, których LRK nie mogły zdobyć gdzie indziej bez dużych kłopotów.

Everett ponad wszystko cenił sobie żywą gotówkę, a Lucas postawił sobie za cel opróżnienie jego kufra. Do dziś sądził, że Nadia jest równie płytka jak jej ojciec. Pomyłka co do niej ucieszyła go.

Odłożył torby i przejrzał pocztę leżącą na stoliku w przedpokoju. Większość zaadresowano do Andvari Inc., co oznaczało, że jego asystent tu był.

Im bliżej było do zniszczenia Kincaidów, tym ważniejsza stała się ścisła konspiracja, powołał więc cztery lata temu do życia jako przykrywkę firmę Andvari, która uniemożliwiała komukolwiek odkrycie prawdziwego właściciela firmy. Przy najmniej tak sądził.

Jak głęboko Kincaid dotarł? W końcu zakupienie tu apartamentu nie mogło być tylko zbiegiem okoliczności.

Choć śmierć Everetta, uniemożliwiła mu osiągnięcie satysfakcji z personalnej zemsty, wciąż jeszcze mógł się nacieszyć posiadaniem wszystkiego, co kiedyś miał i cenił jego wróg, poczynając od córki. Czyż nie byłoby absolutną zemstą odzyskanie kobiety, którą Kincaid mu kiedyś odebrał?

Miłość nie miała z tym nic wspólnego. Długie lata obserwowania, jak to osła-

biające wolę uczucie krzywdziło jego matkę i siostry, pozbawiły Lucasa wszelkich iluzji. Fizycznie wciąż pożył jego byłej żony i seks był jedyną rzeczą, której od niej chciał. Ten drań Kincaid przewróci się w grobie, gdy jego córka powtórnie wyjdzie za mąż za człowieka, którego przed laty odrzucił i upokorzył. Najpiękniejszym zaś dniem będzie ten, w którym zostanie właścicielem LRK, zwolni wszystkich Kincaidów i zastąpi ich emblemat swoim własnym. I dopnie tego.

Nie sądził, by okazało się to łatwe, lecz nic takie nie było od chwili, gdy się ocknął w szpitalu, nie czując nóg, nie mogąc zobaczyć żony ani ocalić dziecka.

Wyszarpnął komórkę z kieszeni i wcisnął klawisz wywołujący siostrę.

- Lepiej, żebyś miał dobry powód, Lucas. Jestem na gorącej randce. Pierwszej od wielu miesięcy - gderliwie odezwała się Sandi.

Zerknął na zegarek. Prawie północ.

- Wciąż chcesz tę nominację, o którą od dawna zabiegasz?

- Cholera, oczywiście. A gdzie haczyk?

- Potrzebuję trochę wolnego.

- Co jest nie tak?

Jeśli powie prawdę, Sandi znajdzie się w najbliższym samolocie do Dallas.

- Mam dość bezustannych podróży.

- Absolutnie w to nie wierzę.

- Nie musisz. Albo chcesz awans, albo nie.

- Chcę, chcę, poczekaj. - Usłyszał jej stłumiony głos mówiący, że wróci za chwilę, potem szelest pościeli.

Dobłą minutę później znów się odezwała.

- Czego ci trzeba?

- Przejmij rachunek w Singapurze.

- Serio? - Była zszokowana, tak jak się spodziewał. Ten projekt był jego oczkiem w głowie.

- Wykupienie tej pożyczki to wielka odpowiedzialność, ale poradysz sobie.

Jesteś gotowa.

- Dlaczego kupujemy ten dług?

- Mam swoje powody. Poza tym trzymaj Jeffersona z dala od wszelkich informacji na ten temat.

Dobrze znał siostrę. Jej milczenie oznaczało, że przegląda w myśli wszelkie możliwe powody dla tak dziwnej prośby.

- Trudno będzie podpisać kontrakty bez prawnika. O co chodzi?

Chciał oszacować powiązania pomiędzy Jeffersonem i Kincaidami. Możliwe, że prawnik sprzedał apartament po prostu komuś spełniającemu wymagania, tak jak miał polecenie. Lecz Lucas chciał wykluczyć go z uczestnictwa w jakichkolwiek poufnych działaniach, zanim się nie upewni, że transakcja jest czysta. Kincaid był nieuczciwy jak diabli, podobnie mnóstwo związanych z nim ludzi.

- Wolałbym do tego zatrudnić innego adwokata. Wyślę tam kogoś, zanim polecisz na spotkanie z kontrahentami.

- Takie zmiany w ostatniej chwili są do ciebie niepodobne. Dlaczego to robisz?

- Jefferson sprzedał apartament w Dallas Everettowi Kincaidowi.

Minęło kilka sekund, zanim usłyszał jęk.

- Jest poniedziałek. Czy nie powinieneś być w Dallas? Chyba nie zamierzasz się znowu mieszać do spraw Kincaidów?

- Wyślę ci jutro kurierem potrzebne papiery.

- Czy Kincaid nie zmarł kilka miesięcy temu? To znaczy... Lucas, daj sobie spokój z tą samolubną lalą.

Przez ostatnie jedenaście lat wszyscy uważali Nadię za egocentryczną wydrę. Będzie musiał opowiedzieć rodzinie całą prawdę, lecz dopiero po zweryfikowaniu faktów.

- Jeśli chcesz promocji, rób swoje i nie wtykaj nosa w moje sprawy.

- Nie podoba mi się to, Lucas, ani trochę.

- Nie płacę ci za to, żeby ci się podobało.

Prychnęła.

- Chcesz, żebym sprawdziła interesy prowadzone przez Jeffersona?

- Poproszę Terri, by rozpoczęła śledztwo. Jeśli koło nas jest ktoś nieuczciwy, ona go znajdzie.

Jego dwudziestoczteroletnia siostra miała za sobą śluby i rozwody z trzema kłamcami, a teraz wykorzystywała zdobyte talenty we własnej agencji detektywistycznej, w której założeniu Lucas finansowo pomógł. Zatrudniał też firmę siostry do dyskretnego sprawdzania każdego potencjalnego pracownika Andvari. Czyżby w przypadku Jeffersona coś przegapiła?

- Dobrze, powiedz tylko, jaki jest plan, żebym mogła przygotować czystkę.

- Nie będzie żadnej czystki, lecz jeśli koniecznie musisz wiedzieć, zamierzam przejąć wszystko, czego kiedyś pozbawił mnie Everett Kincaid. Zaczynając od byłej żony.

Nadia doszła do wniosku, że ostatnie jedenaście lat było w całości jednym wielkim kłamstwem.

Jej żal? Pusty.

Współczucie ojca? Udawane.

Jego troska o jej los? Fałszywa.

Czy wszystko, co zrobił i powiedział od czasu wypadku, było łgarstwem w żywe oczy? Gorzej. Wierzyła w jego szczerłość, co czyniło z niej głupiutką gąskę. Przegapiła wszystkie sygnały wskazujące, jak podstępne były to machinacje. Czy bracia wiedzieli, że Lucas żyje i zarobił na jej bólu? A jej psychiatra?

Z całej siły grzmotnęła kwadratową brytfanną o granitowy blat. Ile osób przez te wszystkie lata ukradkiem chichotało za jej plecami? Dowie się tego. Ograniczało ją uwięzienie tutaj oraz brak funduszy, ale zidentyfikuje wszystkich judaszy, zanim minie rok jej wygnania. Nie mogła wrócić do Miami, nie wiedząc, komu może

ufać.

Zadzwęczał dzwonek do drzwi.

Zadowolona z tego odwrócenia uwagi zgarnęła pieniądze i pospieszyła do przedpokoju. Nie mogła skończyć ciasteczek bez zamówionych orzechów włoskich i buteleczki wanilii. Pieczenie pomagało jej utrzymać umysł z dala od głębokiej, czarnej studni depresji, do której już nigdy więcej nie chciałaby wpaść.

Skąd mogła wiedzieć, że przy zamówieniu trzeba zaznaczyć, że orzechy mają być łuskane? Dziadek do orzechów był dla niej wyłącznie tytułem oglądanego w Boże Narodzenie baletu, a nie przyrzędem kuchennym, którego zresztą nie miała.

Nie zaglądała w wizjer, bo spodziewała się Dana, chłopaka, który przynosił dostawy ze sklepu. Ochrona miała polecenie wpuszczać go na górę bez pytania.

Lecz na progu stał Lucas.

- Czego chcesz?

Boleśnie sobie uświadomiła, jak niedbałym makijażem próbowała ukryć cienie pod oczami po bezsennej nocy oraz w jak mizernej jakości dzinsy i sweter bez rękawów jest ubrana.

Lucas wyciągnął zza pleców torbę ze znajomym emblematem.

- To chyba twoje.

- Tak. - Sięgnęła po torbę.

W ostatniej chwili cofnął rękę i pociągnął nosem.

- Coś pięknie pachnie. Co twój kucharz szykuje na lunch?

- Nie kucharz. Ja. Gdzie Dan?

- Jeśli masz na myśli chłopaka, to zapłaciłem mu i poszedł. - Przcisnął się obok niej do wnętrza.

- Wejdz, proszę - rzuciła za nim sarkastycznie. Wcale go, zdrajcy, tu nie chciała. Podała zwinięte dwudziestki. - To powinno pokryć koszt zamówienia i napiewku.



- Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Czy to sos marinara\*?

\* Znakomity włoski sos do spaghetti z kalmarami, rybą i krewetkami. (przyp. tłum.).

Ruszył do kuchni, wyraźnie się orientując w rozkładzie pomieszczeń, co nie było dziwne u właściciela budynku. Lecz o wiele bardziej irytujące było jego zachowanie, jakby miał pełne prawo naruszać jej prywatność. Coraz bardziej zła ruszyła za intruzem.

- Tak. Wypróbuję nowy przepis i chciałabym go skończyć. A więc do widzenia.

Odkryła, że jeśli nie skupia się całkowicie na przepisie, zaraz coś miesza i nieraz danie jest już nie do uratowania albo wychodzi kompletnie niejadalne. Przy obecnym budżecie nie mogła sobie pozwolić na marnowanie jedzenia. Na pewno będzie o tym pamiętać, kiedy następnym razem trafi do drogiej restauracji i będzie miała ochotę zostawić większość dania na talerzu.

Minie jeszcze dużo czasu, nim się znajdzie w modnym lokalu. Dokładnie czterdzieści trzy tygodnie.

Niezbyt radosna myśl. Sięgnęła po torbę, lecz znowu ją odsunęła.

- Czy mogę dostać moje zakupy?

- Jedenaście lat temu w ogóle nie umiałaś gotować. - Obrzucił długim spojrzeniem czekający na ugotowanie makaron domowej roboty i miskę z niedokończonym ciastem na herbatniki.

Wziął długą, drewnianą łyżkę, zamieszał w garnku i spróbował odrobinę sosu. W Nadii obudził się terytorializm.

- A teraz umiem. Lucas, nie bawi mnie ta dziecinna zabawa w „nie oddam”. Poproszę o zakupy.

- Zaproś mnie na lunch. - Zebrał czubkiem palca odrobinę ciasta z krawędzi miski i oblizwał znacząco. - Mmm... Oraz na deser.

Przełknęła ślinę i zamknęła oczy, walcząc z falą wspomnień i hormonów.

Wcale nie miała ochoty na powtórkę, nawet jeśli miał najzręczniejszy język na całym świecie. Nie mogła mu zaufać.

- Nie mam ochoty na twoje towarzystwo.

- Masz więcej jedzenia niż dla dwóch osób i wiesz, że marinara to mój ulubiony sos.

Zapomniała. No, zgoda, pamiętała, lecz nie dla niego przyrządziła sos. Sama też go lubiła. Był to najłatwiejszy przepis w całej książce i jedyny, do którego miała w domu wszystkie składniki. Poza tym potrzebowała czegoś do makaronu przygotowanego w przysłanej przez Mitcha maszynie. Pomoc braci utrudniała jej osiągnięcie niezależności, ale jednocześnie utrzymywała ją przy zdrowych zmysłach. Paragraf 22\*.

\* „Paragraf 22” - tytuł znanej powieści amerykańskiego pisarza Josepha Hellera, a także potoczne określenie sytuacji bez wyjścia, w której trzeba jednocześnie spełniać dwa wykluczające się warunki (np. jak w książce: jednocześnie być wariatem i nim nie być). (przyp. tłum.).

- Zamrażam nadmiar na później.

- Robisz plany na przyszłość? - Uniósł brwi.

Jego ton ukłuł ją do żywego.

- Tak trudno w to uwierzyć?

- Prawdę mówiąc, owszem.

Smutne, ale dwa i pół miesiąca temu miałyby rację.

Westchnęła i odgarnęła do tyłu szopę włosów. Będzie musiała znaleźć jakąś fryzjerkę w pobliżu. I to za niewygórowaną cenę.

- Odejdź, Lucas.

Wzruszył ramionami i ruszył do drzwi, razem z torbą.

- Hej, oddaj zakupy.

- Znasz cenę - rzucił przez ramię, otwierając drzwi wyjściowe.

Nadia ruszyła za nim. Nie kłopotowała się zamykaniem drzwi. Na górę nie mógł

się dostać nikt niezaanonsowany wcześniej przez ochronę. Dzięki temu nie musiała się uczyć użytkowania skomplikowanego systemu alarmowego.

- Daj spokój, Lucas.

Zatrzymała się na progu jego salonu. Przez okno w przeciwległej ścianie widziała Reunion Tower\*, ale ten punkt orientacyjny nie był tak interesujący jak to, co znajdowało się po bliższej stronie szklanej tafli.

Jego apartament był większy niż jej i dużo bardziej luksusowy. Obracając się w miejscu, szybko podsumowała: importowane dywany na podłodze wyłożonej jatobą\*\*, sofy pokryte zamszem w kolorze kawy z mlekiem i rombowe stoliki o szklanych blatach. Kosztowne. Obrazy na ścianach też do tanich nie należały. Cały wystrój krzychał „odniosłem sukces!”, na szczęście w dobrym smaku, nie w prymitywnym nowobogackim stylu.

\* Wieża widokowa w Dallas, bardzo charakterystyczny punkt miasta. (*przyp. tłum.*).

\*\* Jatoba (*Hymenaea courbaril* L.) - drzewo z Ameryki Środkowej i Południowej. Jego bardzo twarde drewno, łososiowej barwy z ciemnymi słojami, wykorzystywane jest do produkcji kosztownych podłóg i mebli. (*przyp. tłum.*).

Ktoś w końcu przelicytował jej ojca, który święcie wierzył, że pozory i szata określają człowieka.

Nabrała ochoty na obejrzenie reszty apartamentu. Tylko że nic z tego. Nie chciała mieć nic, absolutnie nic wspólnego z Lucasem Stone'em, najemnikiem-dezenterem.

- Nie mogę skończyć herbatników bez składników z tej torby.

- Lubię kruche ciasteczka.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Podszedł do niej. Zaniepokoiła się, ale ani drgnęła. Jednak najsilniejsza nawet wola nie mogła powstrzymać przyspieszenia pulsu i oddechu, napięcia mięśni.

Lucas musnął palcami jej policzek i wsunął kosmyk jej włosów za ucho.

Niech go szlag, wiedział, że miękła, gdy w taki sposób bawił się jej uszami.

- Obchodzi cię, Nadiu. A z tego, co słyszałem od ochrony, wnioskuje, że odrobina towarzystwa by ci się przydała.

- Ja tylko wpadałam na dół się przywitać.

- Byłaś tak natrętna, że ochrona wyprowadziła cię stamtąd i zabroniła korzystać z niższych pięter.

Smutne, lecz prawdziwe.

- Nie chodziło mi o jakiegokolwiek tajemnice służbowe. Chciałam się tylko podzielić ciasteczkami. Nie przejadam wszystkiego, co przygotowuję.

- Moi pracownicy nie potrzebują porad, jak efektywniej prowadzić interesy.

Co z tego, że rzuciła kilka pomocnych uwag? Zaraz, co on powiedział?

- Twoi pracownicy?

- W tym budynku mieści się kilka moich firm.

- Firm? W liczbie mnogiej? Ile ich masz?

- Kilka.

Ciekawe. Jego uniki rozbudziły jej ciekawość. Zawsze był ambitny, tylko kiedyś jego marzeniem była własna firma architektury krajobrazu. Gdy wróci do swojego mieszkania, będzie musiała poszukać w Google informacji o nim.

- Jestem w tym dobra, Lucas. Mogę pomóc.

- Znajdź sobie pracę.

- Już mam pracę w LRK. Idiotyczne wymagania testamentu taty zmusiły mnie do wzięcia urlopu i nie wolno mi poszukiwać innego płatnego zajęcia.

- Dlaczego?

- Tak sobie wymyślił, żeby nam dokopać zza grobu. Wyznaczył Mitchowi, Randowi i mnie zadania do wykonania, zanim obejmiemy spadek po nim.

- Jakie zadania?

- To nie twój interes. Moje życie przestało być twoim zmartwieniem od chwili, gdy je sprzedałeś.

Cios był celny. Dobrze.

- Co będzie, jeśli ci się nie uda?

- Uda mi się. Jeśli czegoś naprawdę chcę, potrafię być uparta. - Kiedyś chciała jego. Teraz już nie. - Oddaj mi, proszę, moje zakupy.

Wciąż trzymał torbę za plecami. Nie mogła jej odzyskać, nie wdając się w upokarzającą szamotaninę.

- Lunch... i deser, Nadiu.

Sugestywna pauza, głęboki głos i świdrujące spojrzenie wywołały u niej mocniejsze bicie serca. Nie herbatniki miał na myśli.

Nigdy więcej.

- Ten uwodzicielski uśmiezek nie robi na mnie wrażenia, Lucasie Stone. Już pokazałeś swoje prawdziwe oblicze.

- Chcę tylko zjeść z tobą lunch i sprawdzić, czy nasz rozwód jest prawomocny.

Co? Aż ją zemdliło.

- Dlaczego miałyby być inaczej?

- Jeśli wierzyłaś, że nie żyję, to po co podpisywałaś papiery rozwodowe?

Skrzywiła się i pożałowała, że nie pamięta co - jeśli w ogóle cokolwiek - podpisywała.

- Celna uwaga.

- Nakarm mnie i pogadajmy.

Czy miała jakikolwiek wybór przy takim postawieniu sprawy? Najpierw jednak musiała znaleźć jakieś ustronne miejsce, by rozładować chęć popełnienia morderstwa.

- Daj mi minutkę - wydusiła przez ściśnięte gardło.

Popędziła do swojego mieszkania. Naprawdę wcale nie chciała dzwonić do Mitcha, żeby ją z tego bagna wyciągnął, ale tylko on miał szansę znaleźć wyjście. Chwyła komórkę i wybrała numer brata. Włosy się jej zjeżyły. A co, jeśli i Mitch

brał udział w tym podstępie?

- Mitch Kin...

- Lucas żyje - wyrzuciła z siebie. - Wiedziałaś?

- Co?

- Mieszka po drugiej stronie holu, naprzeciwko apartamentu taty i jest właścicielem budynku. Wiedziałaś? - spytała jeszcze raz.

- Nadia, uspokój się. Gadasz bez sensu. Nic ci nie jest?

Słyszała w jego głosie troskę wywołaną jej własną histerią.

Z trudem się powstrzymała przed odpowiedzią.

- Nie zwariowałam. Lucas żyje. Tata kłamał. Zapłacił Lucasowi dwa miliony za porzucenie mnie i zniknięcie.

- To sukinsyn. - Nie miała pojęcia, czy brat miał na myśli ojca czy Lucasa. Jej zdaniem to słowo świetnie pasowało do obu.

- Mitch, Lucas powiedział coś ważnego. Jeślibym była pewna, że nie żyje, nie podpisywałabym papierów rozwodowych. Naprawdę nie pamiętam niczego takiego. Bardzo cię proszę, żebyś odszukał wszelkie dokumenty mające związek z moim małżeństwem, a zwłaszcza jego zakończeniem, i przysłał mi kopie. Będę też pewnie potrzebować prawnika mającego licencję na Teksas.

- Nie panikuj, zanim nie poznamy wszystkich faktów.

- Nie panikować? Żartujesz chyba. Mój mąż właśnie wstał z grobu!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Komórka została wyłuskana z jej dłoni. Wrzasnęła, niemal wyskakując ze skóry z przestachu. Odwróciła się gwałtownie, by zobaczyć kto to.

Lucas. Nie usłyszała, jak się podkradł.

- Hej! Oddaj!

Zignorował ją i przyłożył czerwony aparat do ucha.

- Mitch, tu Lucas Stone. Po wypadku wasz ojciec powiedział mi, że Nadia nalegała na zakończenie naszego małżeństwa i nakłonił mnie do podpisania papierów rozwodowych. Jeśli Nadia ich nie podpisała albo nie wiedziała, co podpisuje, wciąż możemy być sobie poślubieni.

Aż osłabła. Dowlokła się do kuchni, bezwładnie opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Nie chciała być związana z łajdakiem, który ją zdradził.

Nagle przeżycie tego roku bez naruszenia warunków testamentu stało się zupełnie nieistotne. Miała dużo poważniejsze kłopoty. Wyprostowała się, wyszarpnęła swój telefon z wyciągniętej dłoni i ze złością spojrzała Lucasowi prosto w oczy.

- Jeśli nadal jesteśmy małżeństwem, załatwię następny rozwód.

- Skąd wiesz, że nie zmieniłem zdania?

- Wierz mi, to bez znaczenia.

W jego oczach błysnęła reakcja na to mimowolne wyzwanie. Powinna umieć nie rzucać tak jawnie rękawicy. Pochylił się nad nią.

- Pamiętasz, Nadiu, jak dobrze nam było razem?

Zrobiło jej się gorąco. Ścisnęła kolana. Jak mogła go pożądać po tym, co zrobił? Wspomnienia wciąż ją prześladowały. Namiętność pomiędzy nimi zdominowała wszystko, a zwłaszcza zdrowy rozsądek, dlatego zaszła w ciążę już dwa miesiące po poznaniu Lucasa. W dniu ślubu była taka podekscytowana, szczęśliwa, pełna nadziei i miłości. Kochali się po raz pierwszy jako małżeństwo w pustej salce kościoła, o parę metrów od wszystkich gości, bo po prostu nie mogli już dłużej

czekać.

Odepchnęła od siebie wspomnienia.

- To było bardzo dawno temu.

- Zostawienie ciebie było błędem, ale chciałem, byś była szczęśliwa.

Prychnęła z niedowierzaniem, odsunęła krzesło i wstała.

- Jeśli usiłujesz mnie przekonać, że wzięłeś pieniądze dla mojego dobra, tracisz czas. Nie położysz łap nawet na jednym cencie z majątku Kincaidów, więc nie licz na alimenty, jeśli trzeba będzie powtórzyć rozwód.

- Nie interesują mnie odpadki.

- Nawet jeśli za odpadki Kincaidów kupiłeś to? - Oстрыm ruchem wskazała jego markowe ubranie.

- To, co mam, zawdzięczam własnej pracy. Łapówka od twojego ojca to tylko kropla w morzu.

Dwa miliony to kropla? Jak jest bogaty?

Postawił torbę z zakupami na blacie, zsunął z ramion marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Podwinął rękawy, ujawniając zapięty na opalonym przegubie zegarek roadster od Cartiera.

O tak, Lucas na pewno miał dużo pieniędzy. Tylko dlaczego rozbiera się w jej kuchni?

- Co robisz?

- Pomagam ci gotować.

- Nie potrzebuję pomocy. - Teraz już nie. Dzięki tygodniom spędzonym w Dallas stała się dobrą kucharką. Nigdy niczego nie robiła połowicznie.

- Dostaniesz moją pomoc i towarzystwo, chcesz tego czy nie. - Lucas otworzył szafkę. Najwyraźniej nie znalazłszy, czego szukał, zajrzał do pozostałych, aż wyciągnął drugi garnek na makaron.

- Nie możesz, ot tak, włączyć tu i przejmować inicjatywy.

- Zdaje się, że już to zrobiłem.



Tato, gdybyś jeszcze żył, zatłukłabym cię za to!

- W takim razie czuj się w mojej kuchni jak w domu - rzuciła z ciężkim sarkazmem w głosie i buntowniczym spojrzeniem.

- Masz czerwone wino?

- Nie piję.

- W tabloidach piszą co innego.

Rumieniec wstydu zalał jej policzki. To prawda, że ostatnimi laty trochę szalała. Lecz ostatnie pięćdziesiąt dwie noce spędziła tu, w Dallas, nie mając do kogo ust otworzyć.

- Próbowałam zapomnieć zmarłego męża i stracone dziecko.

W jego oczach pojawiło się niedowierzenie.

- Mam uwierzyć, że opłakiwałam mnie przez ponad dziesięć lat?

- Oczywiście, że nie. Miałam lepsze rzeczy do roboty.

A jeśli nawet nie, to i tak nigdy się do tego nie przyzna. Zaniósł garnek do zlewu i zaczął nalewać wodę. Zanim naczynie się napełniło, przejrzał szybko jej szafki, znalazł sól i oliwę i bez odmierzania dodał obie przyprawy do wody.

Szybko zajrzała do przepisu. Jedna łyżeczka soli, dwie oliwy.

- Skąd wiedziałaś, ile dodać?

Postawił garnek na kuchence i zapalił gaz.

- Zapomniałaś, że dorastałem, pomagając w domu. Gotować zacząłem się uczyć, gdy mogłem dosięgnąć zaworów kuchenki.

Jak mogłaby zapomnieć, że jego rodzina była równie ciepła i przyjazna, jak jej zimna i zdystansowana? Dzięki przekłębemu, wtykającemu we wszystko nos ojcu i chciwości Lucasa straciła szansę na rodzinne ciepło.

Dranie. Obydwaj.

- Jak twoja matka i siostry?

- Dobrze.

Wysypał na deskę trochę orzechów i zaczął je siekać z dużo większą wprawą,

niż ona by to zrobiła.

Jedenaście lat temu Sandi miała szesnaście lat, Terri trzynaście. Traktowały Nadię jak starszą siostrę, której zawsze pragnęły. Kochała to.

- Skoro są przekonane, że porzuciłam cię, kiedy mnie najbardziej potrzebo-  
wałeś, muszą mieć o mnie bardzo kiepskie zdanie.

- Dobrze myślisz. Ale to się zmieni, kiedy powiem im prawdę.

Często się zastanawiała, dlaczego Stone'owie nie kontaktowali się z nią po wypadku. Teraz знаła odpowiedź.

- Wcale nie muszą nic zmieniać.

- Ile orzechów potrzebujesz?

- Filiżankę. - Starannie odmierzyła łyżeczkę wanilii i włączyła mikser, by wymieszać brunatny płyn z ciastem. - Lucas, jeżeli wciąż jesteśmy małżeństwem, w co wątpię, bo wydaje mi się mało prawdopodobne, by mój ojciec popełnił tak gruby błąd, to długo tak nie zostanie.

Tylko że ostatnimi czasy, odezwał się jej wewnętrzny głos, ojciec popełnił sporo błędów, i to poważnych. Takich jak zapłodnienie kobiety w wieku córki i przegapienie defraudacji milionów pod samym jego nosem.

Zdusiła niepokój, przypominając sobie, że i małżeństwo, i jego rozpad wydarzyły się wiele lat temu, kiedy Everett Kincaid był w wyśmienitej formie.

Lucas wrzucił orzechy do miski.

- Hej, nie odmierzyłeś ich. Skąd wiesz, że to filiżanka?

- Z doświadczenia.

Ona przed osiemnastymi urodzinami objechała świat niezliczoną liczbą razy. Za to Lucas, już jedenaście lat temu, dzięki warunkom, w jakich dorastał, był od niej dużo bardziej doświadczony w niemal każdej dziedzinie życia. Kontrast pomiędzy prostotą jego życia a jego sprytem intrygował ją.

Przełożył ciasto do brytfanny i wstawił ją do nagrzanego piecyka.

Odkrycie, że jej życie opierało się na kłamstwie, zrodziło mnóstwo pytań bez

odpowiedzi, na których poznaniu jej zależało, nawet za cenę towarzystwa Lucasa przy lunchu.

- Co się z tobą działo po wypadku?

- Twój ojciec przeniósł mnie do ośrodka rehabilitacyjnego w Denver. Przeniósł też moją rodzinę i złożył łapówkę na moje nazwisko w banku. Siedząc na wózku, studiowałem. Z powodu niskiej pozycji społecznej i dzięki dobrym wynikom i ja, i siostry zdołaliśmy uzyskać stypendia i pomoc finansową na pokrycie większości wydatków na naukę. To, co zostało po pokryciu kosztów leczenia, za-inwestowałem i zmusiłem te pieniądze do pracy dla nas.

- Jak?

- Dobrze liczę. - Odsunął się od blatu i wskazał parujący garnek. - Woda się gotuje. Pokaż, co potrafisz.

Aż się prosił, żeby go zignorować, ale w jego tonie pobrzmiwało wyraźne powątpiewanie w jej kucharskie umiejętności, wręcz wyzwanie. Nie mogła tego tak zostawić. Pokaże mu, jak bardzo się myli. Energicznie zaczęła wrzucać makaron do wody.

- Wróciłaś do panińskiego nazwiska.

Po wypadku miała w nosie, jakie nosi nazwisko i kto jeszcze go używa.

- Wszystkie dokumenty miałam na nazwisko panińskie. Łatwiej było niczego nie przerabiać.

- Ochrona twierdzi, że rzadko wychodzisz. Dlaczego?

- Nie znam nikogo w Dallas.

- Znasz mnie. Pokażę ci miasto.

- Nie chcę wychodzić z tobą.

- Znam najlepsze miejsca na kolację.

Ślinka jej pociekła na myśl o zjedzeniu czegokolwiek poza swoimi własnymi produkcjami i okazjonalnymi daniami na wynos.

- Nie, dziękuję.

- Powinnaś przynajmniej zobaczyć ogrody.

- To twoja działka, nie moja.

Kłamczucha. Lucas nauczył ją doceniać więcej niż doniczki w kwiaciarni i miała sporo przyjemności z grzebania się w skrzynkach na patiu.

Na pierwszej randce zabrał ją do Fairchild Tropical Garden\* w Coral Gables. Jej zdaniem nie było to miejsce mogące zrobić wrażenie na dziewczynie, wykazał się jednak głęboką wiedzą o znajdujących się tam roślinach tropikalnych. Na drugiej randce poszli do parku stanowego. Z początku była zawiedziona jego wyborem, dopóki nie popływali łodzią wiosłową po bagnach, gadając, flirtując i ciesząc się wzajemną obecnością. Pokazał jej taką naturę, o jakiej nawet kalendarzom Audubon\*\* się nie śniło.

\* Trzydziestotrzyhektarowy ogród botaniczny założony w 1938 roku, centrum badań biologii palm. (przyp. tłum.).

\*\* Audubon - fundacja zajmująca się ochroną przyrody. Co roku wypuszcza bardzo znane w USA kalendarze z widokami cudów natury. (przyp. tłum.).

Ona była dziewczyną pasującą do Ritza. Gdyby ktoś jej powiedział, że najbardziej romantyczną noc w życiu spędzi, siedząc na zwalonym drzewie, słuchając odgłosów owadów, pijąc wino prosto z butelki i jedząc kolację z papierowych talerzyków, uznałaby go za wariata. Wróciła myślami do rozmowy.

- Jest gorący czerwiec. Nie mam ochoty włóczyć się po dworze.

- Kiedyś upał ci nie przeszkadzał.

Jego znizony głos sugerował więcej niż tylko temperaturę otoczenia i przywołał wspomnienia szalonego seksu pod gołym niebem. Pospiesznie zaczęła nakrywać do stołu.

- Nadal lubisz rośliny? Nie bardzo widzę ciebie robiącego na architekturze krajobrazu pieniądze wystarczające na kupno drapacza chmur.

- Zmieniłem dziedzinę z ogrodnictwa na biznes. Głównie dlatego, że bez sensu byłoby zajmować się czymś wymagającym poważnej sprawności fizycznej, kiedy nie miałem pewności, że sobie poradzę.

Zrobiło jej się nieprzyjemnie na wspomnienie o jego zranieniu.

Zadzwęczał minutnik. Pospiesznie odcedziła makaron, wyłożyła go na talerze, polała sosem i postawiła porcje na stole. Usiadła, ale nawet apetyczny zapach unoszący się nad talerzem nie mógł odwrócić jej uwagi od tego, co ją naprawdę interesowało.

- Ile czasu minęło, zanim znów mogłeś chodzić?

- Czternaście miesięcy. To dość, by poczuć strach.

- Jedz. Mam plany na popołudnie. Niemające związku z tobą.

W środę rano Nadia otworzyła drzwi, schyliła się po gazetę i zamarła.

Czując zagrożenie, wyprostowała się, zamrugła, by przeczyścić zaspane oczy, i niechętnie spojrzała przed siebie. Drzwi do mieszkania Lucasa były otwarte.

- Dzień dobry. - Lucas odezwał się natychmiast, gdy tylko ich oczy spotkały się nad trzymaną przez niego gazetą. Siedział w fotelu, którego wczoraj jeszcze w holu nie było, a obok, na szafeczce, leżały jeszcze dwa czasopisma i stała filiżanka z kawą.

Poczuła rozkoszny aromat swojej ulubionej marki Jamaica Blue Mountain. Luksusowa kawa była jedną z pierwszych ofiar jej skromnego budżetu.

Zdecydowana go zignorować, rozejrzała się w poszukiwaniu swoich gazet. Brakowało wszystkich trzech.

- Ukradłeś moje gazety.

- Podzielę się nimi przy śniadaniu. Chodź, zjemy na patiu. - Złożył gazetę i wstał.

- Nie chcę ani czytać gazet razem z tobą, ani jeść śniadania. Tak naprawdę to nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

- Tak powiedziałaś wczoraj po lunchu. - Podniósł pozostałe gazety i wszedł do siebie.

Zastanawiała się nad możliwościami. Mogła albo zatrzaskać drzwi i zignorować go, albo popędzić za nim i wydrzeć mu gazety, albo zrobić, jak chciał, albo zadzwonić do braci i błagać, by kupili jej bilet do domu.

Westchnęła. Choć ostatnia możliwość była najbardziej atrakcyjna, tego nie mogła zrobić. Odcięcie się od Lucasa, zarówno fizycznie, jak i w przenośni było następne w kolejności, tylko że jedną z nielicznych miłych rzeczy na tym zesłaniu było mnóstwo czasu umożliwiające czytanie gazet od deski do deski, by mieć najświeższe wiadomości, czyli utrzymywać kontakt ze światem. Kontakt z pracą i całym życiem już straciła.

Pozostawały więc możliwości druga i trzecia. Był zbyt silny, żeby się z nim szarpać, musiała więc znosić jego towarzystwo. Zgarnęła komórkę ze stołu i bosopruszła przez hol, jego salon i szklanymi drzwiami wyszła na patio.

Jego taras był dwa razy większy niż jej i nawet miał basen na końcu. Lucas odłożył gazety na stół i odwrócił się do niej.

- Dlaczego codziennie rano instruktor samochodowy czeka na ciebie na dole? A ty go ignorujesz.

- Nie twoja sprawa.

- Mieszkałaś na Manhattanie. Mogę zrozumieć, dlaczego nie miałaś prawa jazdy. Lecz w Miami niemal wszyscy prowadzą. Dlaczego ty nie?

Odsunął krzesło od stolika o szklanym blacie, na którym stały talerze z jedzeniem, stalowy dzbanek z kawą i podgrzewacz bufetowy. Gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca.

- Dlaczego sądzisz, że nie prowadzę?

- Sprawdziłem.

- Nie masz prawa naruszać mojej prywatności.

- Mieszkasz w moim budynku. To daje mi prawo do sprawdzenia podstawowo-

wych faktów.

Pochylił się tuż nad nią, naruszając jej osobistą przestrzeń, napełnił filiżankę kawą i zajął miejsce naprzeciwko niej. Zdusiła irytację, uniosła filiżankę i pociągnęła łyżeczek gorącego, ciemnego naparu. Smak brązowego cukru i aromat cynamonu pobudziły jej apetyt.

- Częstuj się.

Zazwyczaj nie jadała śniadań, ale nie zamierzała ominąć posiłku, którego nie musiała sama przygotować i po którym nie musiała posprzątać. Napełniła talerz. Podał jej gazety, a sam zaczął jedną rozkładać.

- Nie odpowiedziałas mi na pytanie.

- Nigdy nie potrzebowałam prawa jazdy, zawsze miałam kierowcę.

- Czyli sama nie wiesz.

Jadła powoli, myśląc intensywnie. Kiedy i ona, i bracia byli młodszy, posiadanie kierowcy dyktowały względy i praktyczne, i bezpieczeństwa. Oczywiście bracia zbuntowali się przeciwko temu ograniczeniu i zrobili prawa jazdy, gdy tylko mogli to legalnie uczynić. Ona nie, bo ojciec był wobec niej skrajnie nadopiekuńczy. A po wypadku w ogóle nie chciała nawet usiąść na przednim siedzeniu, o prowadzeniu już nie mówiąc. Lucas przeżył, ale jej syn zmarł.

- Jak sądzę, twoi szpiegowie i o tym ci donieśli?

- Od moich pracowników oczekuję, by zauważali, co się dzieje w obrębie mojej nieruchomości. Nauczę cię prowadzić.

Żołądek się jej ścisnął i straciła nagle apetyt.

- Nie, dziękuję.

- Przed ślubem uczyłaś się do egzaminu na prawo jazdy. Dlaczego tego nie dokończyłaś?

- Po prostu nie.

- Gdybyś pozostała moją żoną, zrobiłabyś to.

- Kwestia sporna. Był rozwód. To twój wybór, pamiętasz?

- Czy ty się boisz prowadzić?

Zacisnęła palce na widelcu. Skąd wiedział, że strach ją powstrzymuje?

- Oczywiście, że nie, nie bądź głupi.

- Nie możesz pozwolić, Nadiu, by strach rządził twoim życiem.

- Tak nie jest.

- Twierdzisz, że testament ojca nakazuje ci pozostać w tym apartamencie przez rok. Co będzie, jeśli tego nie dotrzymasz?

Byłaby bardzo zadowolona, gdyby zmienił temat na jakikolwiek inny.

- Nie spełnię nałożonych na mnie warunków dziedziczenia.

- A wtedy?

- Stracą wszyscy, choć ja najwięcej.

- Czytałaś warunki zakupu twojego mieszkania podpisane przez ojca?

- Nie, a o co chodzi?

- Jako właściciel całego budynku, w uzasadnionych przypadkach mogę usunąć z niego każdego mieszkańca.

Śniadanie podeszło jej do gardła. Co to są „uzasadnione przypadki”? Musiała spytać prawnika, co się może stać, jeśli Lucas zacznie jakieś legalistyczne manewry. Czy obowiązywałyby ją nadal warunki testamentu, gdyby apartament stał się nagle niedostępny? Czy bracia zdołaliby przeciągać prawne zapasy z Lucasem wystarczająco długo, żeby minął wymagany rok?

Tak czy siak, dopóki nie porozmawia z Richardsem i nie określi swojej pozycji, musi grać na czas.

- Nie możesz tego zrobić.

- Albo przyjmiesz moje lekcje jazdy, albo zadzwonię do swoich prawników i zawiedziesz braci.

- Dlaczego sądzisz, że masz wystarczające kwalifikacje, by uczyć?

- Nauczyłem obie siostry.

- Nie skończyły oficjalnych kursów, jak zwyczajni ludzie?



- Warunki mieliśmy niezwykajne.

Może według jego standardów. Według niej jego rodzina była niemal perfekcyjna. Pełna miłości, przyjazna, prawdziwa. Boże, jak po wypadku za nimi tęskniła! Jednak nie miała odwagi się z nimi skontaktować, przekonana, że winią ją za spowodowanie śmierci Lucasa. Tymczasem mogła się nie przejmować. Żyli sobie świetnie za pieniądze jej ojca.

Teraz jednak, czy mogła odrzucić idiotyczne żądanie Lucasa? Zanim podjęła decyzję, odezwała się jej komórka. Zadowolona, że ma okazję do zwłoki, wyciągnęła ją szybko i sprawdziła, kto dzwoni.

- To Mitch. Muszę odebrać.

Wstała, przeszła w odległy róg patia i stanęła tyłem do Lucasa. Zapatrzyła się w czystą wodę basenu.

- Mitch, co odkryłeś?

- Znalazłem podanie rozwodowe, ale nie ostateczny wyrok. Będę szukał dalej. Podanie jest podpisane i wygląda jak najbardziej legalnie.

Odetchnęła z ulgą.

- Nie przypominam sobie podpisywania czegokolwiek związanego z moim małżeństwem, ale wiesz, w jakim stanie wtedy byłam.

- To był trudny okres - przyznał Mitch. - Rozumieliśmy.

Przez kilka miesięcy po wypadku żyła jak we mgle, na krawędzi katatonii. Kiedy w końcu się pozbierała, ocknęła się na wydziale księgowości i zarządzania na Uniwersytecie Barry\* w Miami Shores, zamiast w Nowym Jorku na wydziale projektowania mody, o czym zawsze marzyła.

\* Uniwersytet Barry jest prywatną, katolicką uczelnią, opartą na tradycjach edukacyjnych zakonu dominikanów. Założony w 1940 roku. (przyp. tłum.).

Czy ojciec podsunął jej papiery w tym okresie oszołomienia?

- Kiedy złożyłam podpis?

- Trzynastego sierpnia.

Przeniknął ją chłód pomimo upalnego poranka. Przestała słuchać, bo nic już nie miało znaczenia. Chciała wrzeszczeć. Odetchnęła spazmatycznie, walcząc z mdłościami i zawrotami głowy.

- M... Mitch, to jest cztery dni po moim ślubie...

- Cztery dni? Ale ty byłaś w sypialni przez... - Stek przekleństw brata prawie ją ogłuszył. Najwyraźniej Mitch nie zawsze pozostawał chłodny i opanowany. - Twój podpis musiał zostać podrobiony.

Uważała tak samo. Usiłowała opanować narastającą w niej panikę, ale była coraz bliższa omdlenia.

- Czy to oznacza to, co myślę?

- Jeśli twój podpis jest nieważny, dokument zapewne też, bo nikt nie miał twojego pełnomocnictwa. Natychmiast posadzę Richardsa nad tą sprawą. Spróbujemy też odszukać resztę papierów.

Odwróciła się powoli. Odnalazła wzrokiem Lucasa po drugiej stronie tarasu i już nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Nadiu, nie panikuj. - Zazwyczaj pomocny głos Mitcha teraz stracił swoją siłę.

- Jak to nie panikuj? Wciąż jestem żoną Lucasa Stone'a.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wciąż zameżna.

Lucas nie mógł usłyszeć tych słów wyszeptanych przez Nadię, odczytał je jednak z jej ust, zobaczył lęk rozszerzający jej oczy i nagłą bladość.

Idąc w jej stronę, z trudem powstrzymał się od tańca radości. Zatrzymał się na tyle blisko, by lekki wiaterek przyniósł mu jej zapach, który wciąż rozbudzał jego zmysły jak nic innego.

Zatrzasnęła telefon i odetchnęła kilkakrotnie, głęboko i starannie, co przyciągnęło jego wzrok do jej biustu.

- Jakiś problem? - Udało mu się zachować spokój w głosie, choć pragnął zasypać ją pytaniami, zaczynając od tego, co Everett Kincaid zrobił źle. Tak czy inaczej, cokolwiek by to było, Lucas nie zamierzał rezygnować z wykorzystania sytuacji.

- Jak się zdaje, coś jest nie tak z podpisami na papierach rozwodowych.

Lekkie drzenie jej głosu było bardzo wymowne. Pamiętał, jak podpisywał dokumenty, czyli to nie o niego chodziło.

- Nie podpisałaś ich.

- Hm... Nie jestem pewna.

Nigdy nie umiała kłamać. Uwielbiał jej szczerość... a także fenomenalne ciało, chęć do przygód oraz ciepło i otwartość wobec jego rodziny. Nigdy nie traktowała jego matki z góry, pomimo że Lila Stone każde z trojga dzieci miała z innym mężczyzną, a ślub tylko z jednym z nich - już wcześniej żonatym, niewiele wartym ojcem Lucasa, który przed jego drugimi urodzinami wsiadł do swojego tira i zniknął na zawsze.

Rodzina Nadii nie była równie przyjazna jak jego.

- Wciąż jesteśmy małżeństwem. To ci powiedział Mitch?

- Może. Musi jeszcze posprawdzać wiele rzeczy.

Wiatr zrzucił jej na oczy kosmyk włosów. Lucas odgarnął go, delikatnie muskając jej policzek. Zauważył, że nie tylko on odczuwa pociąg do niej, ale że jest to wzajemne. Zaciągnięcie jej do łóżka nie powinno być zbyt trudne.

- W takim razie powinienem pocałować swoją oblubienicę.

Przycisnął usta do jej warg. Przez chwilę stała oparta o niego, lecz zaraz gwałtownie się wyrwała. Schwycił ją za ramię, by nie wpadła do basenu. Na moment zawisała nad wodą, usiłując zachować równowagę.

- Ostrożnie - zawołał, odciągając ją od krawędzi. Usiłowała się wyrwać. Rumieniec na jej twarzy powiedział mu, że nie pozostała obojętna na ten pocałunek.

- Puść mnie, Lucas. Nie będziemy odbudowywać tego małżeństwa. Mój prawnik to załatwi. - Kiedy ją puścił, odskoczyła o kilka metrów.

Poprzednio nie musiał się za nią uganiać. Śmiało zainicjowała ich pierwszą randkę. Dobrze wiedział, że wtedy chodziło jej tylko o dokuczenie ojcu. Teraz nie sprawiała wrażenia łatwej do uwiedzenia.

- Po śniadaniu dam ci pierwszą lekcję jazdy.

- Nie chcę.

- Jako kto pracujesz w LRK?

- Jestem dyrektorem działu logistyki. A dlaczego pytasz?

Zaskoczyła go. Powinien był zdobyć informacje o ich zarządzie, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że Nadia może pracować dla tego łajdaka. Na pewno jego machinacje z dostawcami LRK poprzez Andvari były dla niej cierniem, ponieważ przede wszystkim to ktoś na jej stanowisku musiał sobie radzić ze wzrostem cen i utrudnieniem zdobycia zaopatrzenia. Będzie musiał ukryć przed nią tę swoją działalność najdłużej, jak się da, bo...

- Jeśli jesteś w zarządzie, to zdajesz sobie sprawę, że dla wizerunku firmy byłoby co najmniej niekorzystne, gdyby się rozeszła informacja o tym, jak to Everett sfalszował dokument i przekupstwem nakłonił zięcia do zniknięcia.

Zesztywniała, słysząc ten jawny szantaż.

- Nie zrobiłbyś tego. Nie zbrukałbyś naszych nazwisk takim skandalem.

- Sprawdź mnie.

- Nadiu, przestań tak ścisnąć kierownicę.

Spojrzała z wściekłością na mężczyznę na przednim siedzeniu mercedesa. Całe ciało miała zeszywniałe ze strachu i trzęsła się niepowstrzymanie. Jej matka zginęła w wypadku samochodowym. Jej dziecko też. Jeszcze dwa dni temu sądziła, że mąż także. Nawet jego obecność nie potrafiła zmniejszyć głęboko zakorzenionego lęku. Wcale nie chciała tu być. W Dallas. W tym samochodzie. Z tym mężczyzną, który ją zdradził i nie wahał się posuwać do szantażu, by nią manipulować. Z drugiej strony, musiała przyznać, że Lucas w wersji twardego, pewnego siebie i władczego mężczyzny był... interesujący w sposób, którego brakowało tamtemu chłopakowi sprzed lat. Nie zamierzała jednak już nigdy się z nim wiązać, niezależnie od tego, jak dobrze całował.

Rozejrzała się po ogromnym, pustym parkingu zamkniętej instytucji, mając nadzieję, że pokażą się ochrona, policja, ktokolwiek, kto ich stąd wyrzuci.

- Nie powinniśmy się tu kręcić. Widziałam na bramie zakaz wstępu.

- To prywatna posesja. Znam właściciela.

- Czy to przypadkiem nie ty?

- Tak.

- Dlaczego jest zamknięte?

- Zagadujesz mnie.

- A ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- W tym tygodniu trwa unowocześnianie wyposażenia. Zakład zostanie otwarty w poniedziałek. Włącz silnik.

Jak trudne może być przekręcenie kluczyka? Najwyraźniej wręcz niemożliwe, nie była bowiem w stanie ruszyć dłoni kurczowo zaciśniętych na kierownicy.

- Nadiu, popatrz na mnie.

Zmusiła się do spojrzenia w bok i zamiast irytacji w jego oczach zobaczyła tylko cierpliwość.

- To niczym się nie różni od jazdy samochodzikami w lunaparku. Podobało ci się to, prawda?

Odetchnęła powoli, przywołując wspomnienia lepszych dni.

- Tak.

- Tylko teraz nie musisz się tak spinać, bo nikt nie zamierza na ciebie wpadać. Cały ten teren masz dla siebie. Nie zdarzy się nic złego.

- Łatwo ci mówić.

- Jeździłaś wózkami golfowymi. Pedaly są te same.

Rozprostowała zeszywniałe palce.

- Nadiu. - Do cierpliwości w jego głosie doszedł ton zdecydowania. - Nie ruszymy się stąd, dopóki nie objedziesz parkingu dookoła.

Żeby w jej wieku nie móc ruszyć durnym samochodem... Bezapelacyjny dowód słabości. Coś, co musi pokonać.

- Jeden raz dookoła parkingu?

- Dookoła całej posesji i na koniec zaparkujesz.

Jedno okrążenie. Tyle da radę. Przekręciła kluczyk, silnik ożył. Przenosząc nogę z hamulca na gaz, miała wrażenie, że stopa waży tonę. Silnik ryknął, ale samochód ani drgnął.

- Przełóż nogę z powrotem na hamulec i przestaw dźwignię w pozycję „drive”.

Idiotka. Lecz jeśli Lucas też tak uważał, w najmniejszym stopniu tego nie okazał. Jego uspokajający głos przypominał jej czasy, gdy pokazywał jej różne nowe rzeczy, takie jak jazda na rowerze, darmowe koncerty w parku czy kochanie się na kocu pod przykryciem tylko z gwiazd.

Wciąż rozedrgana, zacisnęła zęby i zrobiła, co jej kazano. Samochód posunął się o kilka centymetrów. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Walczyła z za-

wrotami głowy.

Poradzi sobie. A może potem on zostawi ją w spokoju.

- Dobrze ci idzie.

Zerknęła na niego. Na jego ustach igrał ten sam delikatny uśmiech, który latami prześladował ją w snach.

- Patrz na drogę, księżniczko.

Gwałtownie odwróciła twarz.

- Jazdę do przodu mamy załatwioną. Kiedy dotrzesz za budynek, podniesiemy poprzeczkę. Postaraj się utrzymać pomiędzy liniami.

Zawsze to robił. Dodawał otuchy bez strofowania. Bardziej prowadził, niż rozkazywał. Nie chciała, by był miły, cierpliwy i wyrozumiały. Chciała wrednego drania. O wiele łatwiej byłoby go wtedy nienawidzić - bo w tej chwili czynił to uczucie bardzo, bardzo trudnym do utrzymania.

Nigdy nie była bardziej świadoma ciała niż w tej chwili. Własnego i jego.

Cofnęła się w kąt windy, najgłębiej jak się dało. Skoncentrowała się na uszczelce pomiędzy skrzydłami drzwi i usiłowała nie zważać na zapach rozsiewany przez mężczyznę stojącego o dwa metry od niej. Była spięta i niepewna, ale towarzyszyło temu poczucie zwycięstwa.

Prowadziła samochód!

Nie odważyłaby się wyjechać na ulicę, ale zrobiła dziś postępy większe niż przez jedenaście lat terapii. Dzięki Lucasowi. Wciąż nie mogła mu wybaczyć, że wolał od niej pieniądze, ale czuła, że jest tego coraz bliższa.

Przypomniała sobie stanowczo zbyt miłą kolację właśnie zjedzoną z nim w barze ze stekami, niespieszną rozmowę o sztuce, muzyce, książkach i filmach. Niedobrze. Nie wolno się jej zbyt cieszyć poczuciem zwycięstwa z powodu opóźnienia samochodu. No, może jest w tym trochę przesady, ale kiedy się uspokoiła, jedno okrążenie posesji zamieniło się w godzinną jazdę.

I absolutnie nie mogła sobie przypomnieć, żeby w przeszłości kiedykolwiek tak dobrze się razem bawili.

Pragnęła, by ją pocałował. To byłby wyjątkowo duży błąd. Gorączkowo szukała sposobu na odwrócenie uwagi.

- Dziękuję za kolację.

- Bardzo mi miło. Wkrótce to powtórzymy. - Jestem z ciebie dumny, Nadiu.

- Sama jestem z siebie dumna.

- Jak na pierwszą lekcję znakomicie sobie poradziłaś. Jutro będzie łatwiej. O dziewiątej.

- Co do jutra...

Zająknęła się, bo właśnie otwarły się drzwi windy. Lucas oderwał się od ściany, ale nie wyszedł. Podszedł do niej i oparł dłoń na ścianie obok jej głowy. Puls łomotał jej w uszach. Musiała to przerwać, i to szybko.

- Dobrze więc, dziękuję za kolację i...

Musnął palcami jej podbródek. Wstrzymała oddech. Jakże chciała, żeby ją pocałował. Jednak posłuchała głosu rozsądku wniebogłosy wrzeszczącego jej w głowie, zanurkowała pod jego ręką i uciekła w stronę swojego mieszkania.

- Do zobaczenia i dobranoc.

Wpadła do apartamentu i zatrzasnęła drzwi. Mało brakowało. Musi opanować swoje hormony, zanim wpędzą ją w kłopoty.

Następnego ranka, minutę po szóstej, Nadia uchyliła drzwi apartamentu i wyjrzała ostrożnie. W holu pusto, drzwi Lucasa zamknięte.

Musiała wyjść.

Przeszła nad swoimi gazetami, nie zabierając ich do środka. Niech myśli, że jeszcze śpi. Cichutko zamknęła drzwi i na palcach podeszła do wind. Wciąż się jeszcze nie zorientowała, jak najemnicy ojca - kimkolwiek są - sprawdzają, czy była w domu między północą a szóstą rano. Mogło to mieć coś wspólnego z syste-



mem alarmowym, nieużywanym przez nią ani razu. Nieważne, nie zamierzała zepsuć wszystkiego z powodów formalnych.

Winda otwarła się z cichym dzwonkiem. Skrzywiła się, pospiesznie wsiadła i wcisnęła guzik. Pozostała napięta przez całą drogę na dół i przez foyer.

- Wychodzi pani, pani Kincaid? - zaciekawiał się ochroniarz.

Zmusiła się do uśmiechu, modląc się, by nie miał ukrytego przycisku alarmującego szefa w apartamencie na górze.

- Tak.

- Wezwać taksówkę?

- Nie, dziękuję, Williamie.

Przeszkoda numer jeden. Musi opanować korzystanie z komunikacji publicznej. Skoro umiała zorganizować zaopatrzenie dla kilkunastu statków krążących po całym świecie, na pewno zdoła sobie poradzić z przemieszczaniem się jednej osoby w systemie komunikacji szynowej w danym mieście.

Na komputerze wydrukowała mapę Dallas Area Rapid Transit\* i wcisnęła ją razem z laptopem do torebki. Mapa i z grubsza nakreślona strategia postępowania powinny ją utrzymać z dala od budynku i jego właściciela.

\* Dallas Area Rapid Transit - firma transportu publicznego z siedzibą w Dallas, obsługująca to miasto i dwanaście sąsiadujących poprzez sieć linii autobusowych i szynowych (kolej miejska). (przyp. tłum.).

- Wcześniej pani zaczyna - drażnił William, wyraźnie usiłując się czegoś dowiedzieć.

Im dłużej pozostawała w foyer, tym większa szansa, że Lucas przydzielili jej jakiś ogon. Po wczorajszych doświadczeniach i prawie pocałunku w windzie nie miała na to najmniejszej ochoty.

- Owszem.

- Jedzie pani w jakieś konkretne miejsce?

Nie urodziła się wczoraj. Gdyby powiedziała Williamowi, dokąd się wybiera,

informacja ta zapewne dotarłaby na górę, zanim wyszłaby z budynku.

- Zamierzam się zabawić w turystkę i zobaczyć co się da. Miłego dnia.

Wyszła frontowymi drzwiami i skierowała się ku stacji najszybciej jak mogła na wysokich obcasach. Otoczyło ją wilgotne powietrze poranka, dźwięki i zapachy porannego szczytu.

Oto plan: znaleźć kafejkę internetową i posiedzieć przy kawie do otwarcia biblioteki.

Biblioteka. Potrząsnęła głową. Kiedyś zabijałaby czas, robiąc zakupy na Manhattanie, w Paryżu czy w Mediolanie. Teraz nie. Nie z takim budżetem i ograniczeniami w poruszaniu się. Potrzebowała jakiegoś spokojnego, klimatyzowanego miejsca, gdzie mogłaby spędzić wiele godzin, pozostając zbyt zajęta, by myśleć, jak entuzjastycznie jej hormony zareagowały na dotyk ust Lucasa na jej wargach.

Obserwowała pozostałych pasażerów, aż się zorientowała, jak kupić dobowy bilet, i wsiadła do pociągu. To okropne, jak w ciągu dwudziestu dziewięciu lat życia stała się zależna od innych ludzi w trywialnych, a niezbędnych codziennych sprawach.

W pracy była o wiele bardziej niezależna. Kompetentna. Wystarczy spojrzeć, jak sobie radziła przez ostatnie trzy lata z tą przeklętą firmą Andvari obserwującą każdy jej ruch. Wskutek przejęcia przez nią większości dostawców LRK, musiała urobić sobie ręce po łokcie, żeby znaleźć źródła zaopatrzenia za rozsądne ceny. Nawet ojciec nie potrafił znaleźć błędów w zaproponowanych przez nią rozwiązaniach.

Ale w życiu osobistym, no cóż, musiała w nie włożyć nieco więcej pracy. Zapewne to miał na uwadze ojciec, zsyłając ją na drugi koniec kraju.

Zrozumienie jego motywów nie oznaczało, że przestała się na niego wściekać.

Przejazd pociągiem minął szybko i na szczęście bez żadnych kłopotów. Nawet udało jej się wysiąść na właściwej stacji. Po kawie i parfait\* z jogurtu z owocami i ziarnami zbóż wkroczyła do biblioteki natychmiast po jej otwarciu. Jeden wdech i poczuła się jak w domu. Nic tak nie pachniało jak budynek pełen książek.

\* Parfait [wym. parfé] - to deser podawany zazwyczaj w wysokim kielichu. Sporządza się go z mrożonego kremu lub lodów, bitej śmietany oraz syropu owocowego. Nazwa pochodzi z języka francuskiego i oznacza: doskonały, idealny. (*przyp. tłum.*).

W czasie studiów spędzała długie godziny wśród regałów, ucząc się i unikając ojca.

Tak... Ukrywając się, unikała dominujących mężczyzn pojawiających się w jej życiu. To trzeba będzie zmienić, ale dopiero kiedy stanie na nieco pewniejszym gruncie. Teraz nadal będzie unikać Lucasa. A jeśli znajdzie ją w tej bibliotece, to według Google w okolicach Dallas są jeszcze dwadzieścia dwie inne i we wszystkich jest darmowa usługa WiFi.

Myśl o wyszukiwarce przypomniała jej, że ma poszukać informacji o Lucacie.

Znalazła zaciszny stolik w głębi sali, niewidoczny z głównego wejścia, i uruchomiła laptop. Wpisała „Lucas Stone” i wcisnęła klawisz „Szukaj”.

Znalazła kilkunastu, żaden jednak nie pasował. Spróbowała kilka innych wyszukiwarek, ale z tym samym rezultatem. Zastanawiające. Nie powinien być tak trudny do namierzenia.

Otworzyła pocztę i wpisała adres Mitcha, który miał większe możliwości od niej. Napisała szybko list, prosząc go o sprawdzenie w umowie kupna apartamentu klauzuli o usunięciu mieszkańca oraz o przyjrzenie się warunkom testamentu, żeby się przekonać, czy Lucas naprawdę może ją wyrzucić i jakie to miałyby dla nich konsekwencje.

Na koniec wpisała ostatnią prośbę.

Choć była nieszczęśliwa, ponownie prosząc o pomoc, musiała dokładnie

wiedzieć, z czym i kim musi sobie poradzić, walcząc z Lucasem Stone'em.

- Opuściłaś lekcję jazdy.

Aż podskoczyła w holu na dźwięk głosu Lucasa za plecami. Nie słyszała otwierania drzwi. Nie odwróciła się, przekręcając klucz w zamku.

- Wybacz. Miałam coś do załatwienia.

- Kiedy wczoraj mówiłem, że spotkamy się o dziewiątej, nie wspomniałaś o napiętym grafiku.

Gorączkowo poszukując pretekstu, który pozwoliłby jej uniknąć kolejnego wieczoru w jego towarzystwie, odwróciła się do niego.

- Prawdopodobnie dlatego, że rozkazałeś mi się stawić na dziewiątą, a nie poprosiłeś. Powinieneś pamiętać, jak reaguję na rozkazy.

Jej ojciec doprowadził sztukę rozkazywania do perfekcji i wymagał bezwzględnego posłuszeństwa. Lucasowi będzie się stawiać.

- Masz pięć minut na przygotowanie się do lekcji.

- Lucas, jestem zmęczona, byłam cały dzień poza domem. Chcę tylko coś zjeść i iść spać.

- Po lekcji mamy zarezerwowany stolik. Nie będziesz musiała gotować.

Kolejny posiłek bez paskudnej pracy. Kuszące, ale czy nie słuchał, co do niego mówiła?

- A jeśli odmówię?

Wyjął komórkę z kieszeni. Zadzzwoni po prawnika albo... w każdym razie zrobi coś, co uczyni jej życie jeszcze bardziej żalnym.

- Zebranie się zajmie mi więcej niż pięć minut.

- Dziesięć.

- Dziesięć? Ale...

- Zegar tyka. Niedługo skończy się dzieńne światło.

- Nie masz nic lepszego do roboty poza prześladowaniem mnie?

- Co może być ważniejsze od odbudowania związku z utraconą na lata żoną?

- Nie jestem twoją żoną.

- Może chciałabyś obejrzeć kopię wniosku rozwodowego i końcowego wyroku, które dziś dostałem? Porównałem podpisy na nich z tymi z twoich starych listów. Sygnatury na wniosku są bardzo dobrymi kopiami, ale to nie ty je złożyłaś.

Tego się obawiała. Wtedy do niej dotarło. Jej stare listy!

Zaczerwieniła się. Wtedy nie miała dostępu do internetu, więc korespondowała tradycyjnie, na papierze. Ich listy były co najmniej... pikantne. Zatrzymała wszystko, co jej przysłał. Po „śmierci” Lucasa urządziła w pokoju wręcz świątynię męża i syna. Ojciec nienawidził tego. Teraz wiedziała, dlaczego tak jej wiercił dziurę w brzuchu, żeby sobie znalazła kogoś nowego, otrząsnęła się z żałoby. Robił tak, dopóki mu nie odpłaciła, przyprowadzając do domu najstraszliwszych kandydatów, jednego za drugim, aż w końcu dał jej spokój.

Lecz żaden z tych mężczyzn nie był w stanie zająć miejsca Lucasa czy choćby wyrwać jej z otępienia. I nic nie mogło zapełnić pustki po stracie dziecka.

Boże, a gdyby kogoś znalazła? Gdyby za niego wyszła?

- Ciągle masz moje stare listy?

- Trzymałem je, by pamiętać, że są kobiety niedotrzymujące przysiąg.

- Ale ja...

- Twój ojciec oszukał nas oboje. Nie uważam, żebyś była za to odpowiedzialna. Rusz się, Nadiu. Masz już tylko osiem minut.

Zła, weszła do apartamentu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Odwróciła się na odgłos uderzenia. Lucas zatrzymał drzwi, zanim zamknęły mu się przed nosem.

- Zaczekam w środku.

Mogła się z nim spierać, ale czemu by to miało służyć? Mógł ją szantażować i groźbą eksmisji, i ujawnienia oszustwa ojca. Zamknęła się w sypialni i zaczęła się przebierać.

W końcu przejrzała się w lustrze i palcami przeczesła włosy, gwałtownie już potrzebujące fryzjera i rozjaśnienia. Ocknięcie się ze śpiączki z łysą czaszką i rurkami sterczącymi z każdego otworu ciała nie należało do miłych doświadczeń. Potem, kiedy ojciec powiedział jej o Lucasie i dziecku, zrobiło się jeszcze gorzej. A miesiąc później dobiła ją informacja, że śmierć jej matki nie nastąpiła w wypadku i że nie była to pierwsza próba samobójcza.

Kiedy w końcu wygrzebała się z głębokiej studni rozpacz, przysięgła sobie, że nigdy już nie pozwoli na to, by tak łatwo było ją zranić. Oznaczało to zamknięcie serca przed mężczyznami - a zwłaszcza przed tym w jej salonie.

Lucas Stone mógł ją zmusić do spędzania z nim czasu, ale Nadia nigdy nie zapomni bólu, jaki odczuwała, gdy go straciła.

Zakochanie się w nim było czymś naturalnym i najłatwiejszym w życiu.

Poradzenie sobie z jego utratą - najtrudniejszym. I znalazła się przy tym o włos od pójścia w ślady matki.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Mrozący krew w żyłach krzyk, gdzieś na prawo od Nadii, przejął ją do szpiku kości. Odruchowo rzuciła się w bok, częściowo lądując Lucasowi na kolanach.

Odwróciła się w stronę źródła dźwięku. W sąsiednim, półokrągłym boksie restauracji jakaś kobieta szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w spoczywające obok niej bezwładne ciało mężczyzny, którego cała pierś była zalana czerwienią. Jego usta poruszały się bezgłośnie, niewidzącymi oczami wpatrywał się w przestrzeń.

Nadia, przerażona, rozejrzała się dookoła. Co się stało? Postrzelono go? Nie słyszała huków.

Kiedy dawno temu pracowała na statkach LRK przeszła szkolenie w zakresie radzenia sobie z kryzysami, choć do tej pory wystarczała znajomość podstawowej pierwszej pomocy. Oderwała się od Lucasa i spróbowała się przedostać do sąsiedniego boksu, oferując pomoc. Lucas chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał.

- Puszczaj! Skończyłam szkolenie pierwszej pomocy. Mogę pomóc.

Uśmiechnął się leciutko kącikiem ust. Jak mógł się uśmiechać, kiedy obok umierał człowiek?

- Nadiu, to przedstawienie - szepnął.

Kobieta przy sąsiednim stoliku zakryła twarz i zaczęła wykrzykiwać coś od rzeczy. Bezużyteczna idiotka. Zrób coś zamiast skrzeczeć! Lecz wpadająca w coraz większą histerię sąsiadka nawet nie próbowała powstrzymać krwawienia, nikt też nie pospieszył z pomocą. Nadia złapała płócienną serwetkę, zamierzając przycisnąć ją do rany, i ponownie spróbowała się ruszyć. Dłoń zaciśnięta na przegubie zatrzymała ją w miejscu.

- Lucas, on potrzebuje lekarza! Dzwoń pod dziewięćset jedenaście!

Zmusił ją, by popatrzyła na niego.

- To przedstawienie, Nadiu. Jesteśmy w teatrze „Kolacja z kryminałem”.

Zamrugła, nic nie rozumiejąc.

- Co takiego?

- Ofiara i jego dziewczyna to aktorzy. Uwielbiałaś sztuki z Broadwayu. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Rzeczywiście udało mu się ją zaskoczyć.

- Sztuka?

Zerknęła przez ramię na innych ludzi. Przed jej oczami właśnie rozwijał się pierwszy akt. Teraz, gdy wiedziała, na co patrzy, stało się to oczywiste.

Rozluźniła się. Puls jej się uspokoił, rumieniec jednak pozostał. Ile osób widziało, jak zerwała się na pomoc? Czy wszyscy oprócz niej wiedzieli, że to tylko rozrywka? Miała ochotę schować się pod stół, a przynajmniej za Lucasa.

Jakby czytając w jej myślach, objął ją i przyciągnął do siebie. Nie mogła się z nim szarpać, nie odwracając uwagi od aktorów, którzy w końcu ruszyli w stronę sceny. Niepozorna kurtyna właśnie szła w górę,

- Jak mogłam nie zauważyć szczegółów zdradzających, gdzie jesteśmy? - szepnęła.

Jego oddech muskał jej włosy.

- Nigdzie nie było żadnych informacji. To miejsce ma wyglądać jak zwyczajna restauracja.

Pocałował ją delikatnie w ucho. Poczowała przyływ podniecenia, co ją rozżłościło. Usiłowała się uwolnić z jego uścisku, ale bezskutecznie.

- Nie ruszaj się. Ciesz się przedstawieniem.

A jaki miała wybór? Skupiła się na aktorach, dialogach i fabule. Czymkolwiek, co odwróci jej uwagę od przytulonego do niej mężczyzny. Śledziła zagadkę morderstwa aż do opadnięcia kurtyny na antrakt. Wtedy Lucas uniósł ich splecione dłonie do ust, ściągając ją do rzeczywistości. Poczowała straszną ochotę na pocałunek.

Kiedyś uwielbiała jego pocałunki.

- Podoba ci się sztuka? - spytał.



Musiała odgonić rzucany przez niego urok, zanim będzie miał okazję zdradzić ją ponownie. Lecz jakoś nie potrafiła zmusić ciała do posłuszeństwa. Złapała się na tym, że się ku niemu pochyla.

- Tak. Dzięki za ten pomysł.

- Polecam się na przyszłość. - Uwolnił jej dłoń i odgarnął jej włosy do tyłu, muskając przy tym palcami policzek w pieszczocie, od której przeszedł ją dreszcz.

Czas.

Straciłam poczucie czasu!

Wyprostowała się, złapała go za nadgarstek i popatrzyła na zegarek. Już kilka tygodni temu przestała nosić swój, bo siedząc w domu, mogła się nie przejmować godziną policyjną.

Dwudziesta trzecia trzydzieści. Spóźni się. Złapała torebkę.

- Muszę iść.

Było jej nieprzyjemnie wychodzić w środku przedstawienia, ale od tego zależał spadek braci.

- Sztuka jeszcze się nie skończyła.

- Nie mogę zostać. - Wyśliznęła się z boksu i pospieszyła do wyjścia.

Lucas dogonił ją w szatni.

- Nadiu, o co chodzi? Źle się czujesz?

- Nie, ale... - Nie chciała mu opowiadać, że ojciec potraktował ją jak dziecko i ustanowił godzinę policyjną.

- Słuchaj, po prostu zabierz mnie do domu. Albo jeśli chcesz obejrzeć sztukę do końca, wezmę taksówkę. Ale muszę jechać. Natychmiast.

- Przecież sztuka ci się podobała.

- Owszem. Znakomita. Jednak muszę wracać do domu.

- Odwiozę cię, jeśli mi wyjaśnisz, o co chodzi.

Zawahała się.

- Lucas, czy możemy kontynuować rozmowę po drodze? Wszystko wyjaśnię,

obiecuję. Tylko, proszę, odstaw mnie do domu. Jak najszybciej.

Podszedł do szefa sali, zamienił z nim kilka słów, wręczył plik banknotów i dołączył do Nadii.

- Idziemy.

W drodze do samochodu rozważała różne sposoby wyjaśnienia sytuacji, ale nie znalazła dobrego rozwiązania nawet do chwili, gdy już wjechali na autostradę. Lucas popatrzył na nią.

- Zaczynaj.

Westchnęła.

- Muszę być w domu przed północą.

- Dlaczego?

- To jeden z warunków testamentu.

- A jeśli nie zdążysz?

- Może się zrobić paskudnie. Nie tylko dla mnie, ale i dla Randa, Mitcha i Rhetta.

- Dwóch pierwszych znam, ale kim jest Rhett?

- Tata zaskoczył nas nieślubnym, rocznym dzieckiem.

Dotychczas widziała tylko przesłane mejlem zdjęcia przyrodniego brata. Wyglądał jak Kincaid. Do kogo byłby podobny jej syn? Miałby ciemne włosy i zielone oczy jak ona czy blond loki i niebieskie tęczęwki jak jego tata?

- Na ile źle może się to skończyć?

Uznała, że im mniej ujawni, tym lepiej.

- Jeśli nie będę przestrzegać reguł, cały spadek będzie zagrożony. Nie zamierzam do tego dopuścić.

- Czyli chodzi o pieniądze?

- Nie. Chodzi o to, żebym teraz to ja zadbała raz o braci, a nie polegała na nich jak zawsze do tej pory...

Powiedziała za dużo. Może nie zauważył.

- Polegałaś na nich? W jaki sposób?

- Zawsze byli pod ręką, odkąd... umarłeś. Byłam w nie najlepszej formie. Jestem im to winna, muszę wypełnić swoje zadanie.

Lucas wymamrotał pod nosem coś przypominającego przekleństwo.

- Twój ojciec był naprawdę wyjątkowy.

- O tak. A im więcej wiem... - Ugryzła się w język.

- Tym... co?

- Tym poważniej się zastanawiam, czy on mnie kochał, czy nienawidził.

- Bo przypominałaś mu twoją matkę.

Pamiętał. Skinęła głową. Oderwał dłoń od kierownicy, przykrył nią jej rękę i ścisnął pocieszająco.

- Ciebie nie da się nienawidzić, Nadiu. Wierz mi, próbowałem.

- Zdążyliśmy pięć minut przed czasem - powiedział Lucas, gdy Nadia wkładła klucz do zamka.

- Przykro mi, że straciłeś przeze mnie część sztuki.

Otworzyła drzwi i weszła, rozglądając się i nie po raz pierwszy zastanawiając, czy gdzieś tu jest kamera, czujnik ruchu albo jakiś inny gadżet z Bonda rejestrujący jej wyjścia i wejścia do mieszkania, a także to, czy jest sama, czy w towarzystwie. A może po prostu ojciec przekupił ochronę? Zawsze uważał, że każdy ma swoją cenę. Zazwyczaj miał rację. Lucas był jednym z dowodów.

Na pewno nie spodobałoby mu się, że jego pracownicy zostali kupieni przez jej ojca. Ale ona nawet nie wspomni o swoich podejrzeniach, bo wcale nie jest pewna, co by się stało, gdyby raporty o jej aktywności nagle przestały się pojawiać.

Teraz, gdy wróciła do tego odległego od domu więzienia, jej serce zaczęło się uspokajać. Musieli objechać miejsce wypadku i spanikowała, że się spóźnią. Pięć minut do północy było marginesem nieco za małym jak na jej nerwy.

Odwróciła się w przedpokoju i zdumiała, widząc Lucasa tuż za sobą.

- Dziękuję za lekcję jazdy, kolację i sztukę.

- Jutro powinniśmy zacząć wcześniej. - Podszedł bliżej.

Cofnęła się. Unikanie go wciąż było jej priorytetem, zwłaszcza po tym, jaki się okazał wyrozumiały najpierw w trakcie nauki jazdy, a potem gdy musiała wyjść z teatru. Jego współczucie powoli podkopywało jej linię obrony.

- Lucas, naprawdę doceniam twoją pomoc, ale wiem, że masz swoją pracę. Twoje interesy same się nie poprowadzą. Porozumiem się ze szkołą, którą mi ojciec znalazł, i dokończę kurs na prawo jazdy.

Na pewno, tylko później. Lepiej poczekać z tym do powrotu do Miami.

- Nie musisz. Wszystko jest zorganizowane. - Podszedł bliżej.

Czyżby uważał to spotkanie za randkę i oczekiwał tradycyjnego zakończenia? Jeśli tak, nie mogła do tego dopuścić. Cofnęła się w głąb mieszkania.

- Jest już późno. Musisz iść. Jeszcze raz dziękuję, dobranoc.

- Jeszcze nie. - Chwycił ją za rękę, wciągnął do salonu i usadził obok siebie na sofie. - Powiedz mi, co robiłaś po wypadku.

Nie miała ochoty na tę rozmowę, ale najwyraźniej jedynym sposobem, by się go pozbyć, było przynajmniej streszczenie wydarzeń.

- Poszłam na studia. W wakacje pracowałam w LRK.

- Co robiłaś?

- Pracowałam na Crescent Key.

- Tej prywatnej wyspie wykorzystywanej przez statki wycieczkowe?

- Tak.

- Czym się tam zajmowałaś?

- Prowadziłam wycieczki kajakowe i robiłam wszystko, do czego w danej chwili mogłam się przydać.

- Całkiem dobrze jak na pierwszą pracę.

- Fakt. Wiesz, że ojciec nie pozwalał mi pracować, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat.

- Wcale też nie chciałaś.

- No cóż, nie chciałam. - Praca nawet nie przyszła jej do głowy, dopóki nie poznała Lucasa. Bo i po co? Miała więcej pieniędzy, niż zdołałaby wydać. Potem zaczęła się szykować do pracy po ślubie. Wiedziała, że Lucasa nie byłoby stać na niepracującą żonę. Planowała poszukać zajęcia w markowym butik.

Czyżby przysunął się bliżej? Cofnęła się nieco, ale przyciągnął ją do siebie i pochylił głowę. Dotknął wargami jej ust, zanim zdążyła zaprotestować.

Pocałunek pochłonął ją w jednej chwili, zatapiając w lawinie wspomnień. Chwyliła go za ramię, żeby odepchnąć, skończyło się jednak na szukaniu równowagi. Kontrast pomiędzy delikatnością jego warg a żelazną pewnością siebie, którą emanował, sprawił, że nie potrafiła się zmusić do cofnięcia.

Jakże za tym tęskniła.

Zmienił pozycję, kładąc ją na sofie. Czuła, że jej pożąda, ona jego też pragnęła. Jednak nie mogła go mieć. Nie teraz. Nigdy. Bo wszystko się zmieniło.

Wyszarpnęła się z jego uścisku i zerwała na równe nogi. Cofnęła się, potknęła o coś i zachwiała. Lucas wstał i chwycił ją mocno za łokieć. Już dwa razy ratował ją przed upadkiem. Wciąż traciła przez niego równowagę, i fizycznie, i mentalnie. Musi być ostrożniejsza albo znowu pograży się w miłości do niego.

- Nie mogę... Nie zrobię tego, Lucas. Wyjdź, proszę.

- Pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie.

- Boleśnie się nauczyłam, że nie mogę mieć wszystkiego, czego chcę. Czasem to, czego pragnę, wcale nie jest dla mnie dobre.

Zapadło długie milczenie.

- Zobaczymy się rano. Śpij dobrze, Nadiu.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, poczuła gigantyczną ulgę, że się z nią nie spierał, nie próbował jej przekonać. Nie miała na to siły - zwłaszcza jeśli musiałyby walczyć ze sobą tak samo jak z nim. W dodatku bez pewności wygranej.

Jednego była pewna: to małżeństwo było sytuacją bez wyjścia i musiała je zakończyć. Lucas wziął pieniądze, by ją zranić.

A ona jest wrakiem.

- Przepraszam bardzo.

Cichy głos odciągnął uwagę Nadii od stosu magazynów mody zgromadzonych przez nią na bibliotecznym stoliku.

- Tak?

Drobna, siwiejąca kobieta koło pięćdziesiątki stała obok. Jej okulary zwisały na łańcuszku.

- Czy pani Nadia Kincaid?

Nadia zignorowała wpojone od lat zasady ostrożności i z radością przerwała przeglądanie czasopism, bo mimo zajęcia nie potrafiła zapomnieć, że dziś żeni się jej brat, a ona nie może tam być, bo nie wolno jej wyjechać z Dallas.

Niech cię szlag, tato.

Rand obiecał przesłać wieczorem na jej komputer relację na żywo z ceremonii, więc będzie mogła zobaczyć, jak Mitch poślubia ciotkę Rhetta - kobietę, której Nadia nigdy nie widziała.

- Tak, jestem Nadia Kincaid.

- Tak sądziłam. Rozpoznałam panią ze zdjęcia, które widziałam dziś rano w tabloidzie.

Nadia zarumieniła się. Ludzie są dziwni. Nie była żadną celebrytką, ale zdarzało jej się już, że proszono ją o autograf.

- W czym mogę pomóc?

- Miałam właśnie nadzieję na pani pomoc. Bo widzi pani... - Kobieta zerknęła przez ramię i przysunęła się bliżej. - Przeczytałam tego szmatławca przed wyrzuceniem.

Oho! Czyżby miano ją stąd wyrzucić? I jaką to kretyńską bajeczkę tym razem wysmarowali „reporterzy”? Ostatnio dostarczała im raczej niewiele amunicji.

- Nazywam się Mary Branch, jestem kierowniczką tej biblioteki. W artykule

napisano, że ostatniej wiosny zorganizowała pani w Miami aukcję dobroczynną na rzecz wcześniaków i zebrała rekordową sumę.

Nadia rozluźniła się i poczuła przyływ dumy.

- To prawda.

Poświęciła swój czas i wykorzystwała wiedzę, wyszukując na aukcję wyjątkowe przedmioty, żeby choć kilkoro wcześniaków miało szansę przeżycia, której jej synek nigdy nie miał.

- Nasza biblioteczna specjalistka od zdobywania funduszy niespodziewanie dziś rano złożyła wymówienie. Ponieważ widziałam tu panią wczoraj i jest pani dzisiaj, więc mam nadzieję, że pozostanie pani w Dallas wystarczająco długo, by nam udzielić kilku rad... czy w jakikolwiek inny sposób pomóc swoim doświadczeniem. Kiepsko nam idzie bez specjalistki. Już za późno na odwołanie tej aukcji, nie możemy też sobie na to pozwolić. Większość naszych programów jest finansowana z takiej działalności.

Nadia poczuła się zaintrygowana. W końcu szukanie rozwiązań było jej normalnym zajęciem.

- Kiedy ma się odbyć ta aukcja?

- Za trzy tygodnie.

Trzy tygodnie rejsu bez kapitana na mostku? Poważne wyzwanie.

- Jak zaawansowane są przygotowania?

- Nie mam pojęcia. W biurze mam notatki Sue Lynn, mogę je pani pokazać.

Oczywiście, jeśli jest pani zainteresowana tą pracą.

- Naprawdę bardzo bym chciała wam pomóc, ale nie mogę przyjąć żadnego płatnego zajęcia, bo jestem na specjalnym urlopie. Mogę tylko zaproponować siebie jako wolontariuszkę.

- Twoja szczodrość bardzo mnie cieszy, kochanie. Znalezienie kogoś o twoim doświadczeniu w tak krótkim czasie zakrawa na cud. Zechcesz zajrzeć do tych notatek?

- Oczywiście. - Nadia wstała, czując, jak pojawienie się celu dodaje jej energii.

Ta propozycja była cudowną odpowiedzią na jej modlitwy. Pomoc w zdobywaniu funduszy pozwoli jej zabić nudę, da idealny pretekst do unikania Lucasa Stone'a przez cały dzień oraz większe szanse na to, że nie zawiedzie braci.

RS



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie obchodzi mnie, jak trudno to zdobyć - powiedział Lucas do prawnika, z którym rozmawiał przez telefon. - Chcę mieć kopię testamentu Everetta Kincaida. Zdobądź ją w dowolny sposób, może tylko z wyjątkiem włamania i kradzieży.

Stukanie do drzwi zaskoczyło go. Nadia. Nie mógł to być nikt inny.

- Muszę iść. Zadzwoń, kiedy będziesz miał to, czego potrzebuję. - Rozłączył się.

Wczorajszy pocałunek wzmógł jego determinację, by ponownie zaciągnąć byłą żonę do łóżka. Wyczuł, że go pragnie. Dlatego dziś rano poszedł za nią. Musiał wiedzieć, dokąd chodzi i z kim się widuje.

Odłożył komórkę na stolik, przeszedł przez salon i otworzył drzwi. Widok Nadii zaparł mu dech w piersi.

- Mam zajęcie!

Biblioteka. Jego zakulisowe manipulacje musiały odnieść skutek. Z trudem ukrył satysfakcję.

- Sądziłem, że z powodu testamentu nie możesz pracować?

- To bezpłatne zajęcie. Ochotniczo będę pomagać w zdobywaniu funduszy dla biblioteki. Ich specjalistka nagle odeszła.

Darmowy rejs dookoła świata na najbardziej luksusowym statku Mardi Gras może wywołać taki efekt.

- Zostawiła ich na lodzie. Kierowniczką biblioteki rozpoznała mnie z artykułu o imprezie dobroczynnej, którą zorganizowałam w Miami, i spytała, czy byłabym zainteresowana poprowadzeniem przygotowań.

Dobry nastrój Nadii przygasił jego poczucie winy z powodu wkręcenia jej w tę sytuację.

- Lubisz imprezy dobroczynne?

Wiedział, że tak. Czytał ten sam artykuł, zanim wysłał go do kierowniczką bi-

blioteki razem z obietnicą szczodrej darowizny, jeśli zarząd biblioteki znajdzie dla Nadii miejsce. Nie spodziewał się, że zaoferują jej tak wysoką pozycję, nawet pomimo tego że zgodnie i z jego ustaleniami, i ze wspomnianym artykułem miała ku temu kwalifikacje.

- Jestem dobra w organizowaniu, planowaniu i wygrzebywaniu igieł ze stogu siana.

To pełne pewności siebie oświadczenie i pełna energii postawa przypomniały mu dawną Nadię, tę, w której się zakochał, bo szczerze wierzyła, że może podbić i zmienić cały świat.

Do dziś nie dostrzegł w niej nawet śladu osoby, która - choć dotychczas nie wiedział, że to była właśnie ona - umiała skontrolować każde jego posunięcie mające na celu pogrążenie Linii Rejsowych Kincaid przez przejmowanie dostawców. Czuł szacunek dla takiej inteligencji i determinacji. Kiedy będzie po wszystkim i przejmie LRK, rozważy zaoferowanie jej pracy.

- Biblioteka ma szczęście, że cię zdobyła.

A on z kolei cieszył się, że będzie zajęta przez cały dzień, bo wówczas będzie miał czas na to, by pomóc Sandi w dopięciu ostatniego kontraktu Andvari. Siostra natrafiła na problem, z którym nie da sobie rady sama - starego bankiera, który uważał, że miejsce kobiet jest w fartuchu przy garach.

- Mam nadzieję. Lecz chciałam, żebyś wiedział, że przez następne trzy tygodnie będę zaginiona w akcji.

- Wracaj do domu co wieczór na lekcje jazdy.

- Nie wiem, czy dam radę.

- To jest część naszej umowy, Nadiu.

- Lucas, to jest ważne, a ja mam bardzo mało czasu. Dziś wieczorem mam co innego do roboty. Nie mogę z tobą jeździć.

- Nie ma mowy o żadnych odstępstwach.

Rzuciła mu spojrzenie, które na pewno onieśmiało jej podwładnych.

- Tak samo jak w przypadku twojego dotrzymania przysięgi małżeńskiej?

Trafienie w dziesiątkę. W czasie ich separacji Nadia wyhodowała sobie pazury. Interesujące. To była kobieta, która potrafiła pokonać Andvari.

- Oboje wiemy, dlaczego nasze małżeństwo się rozpadło. Przez twojego ojca. Lecz sama przyznaj, że prawdopodobnie miał rację. Nie potrafiłabyś poradzić sobie z małżeństwem z kaleką.

Cała się zjeżyła. Gdyby była kotem, zasyczałaby.

- Tego nie wiesz. Tak jak wszyscy spodziewasz się po mnie porażki, a nie dałeś mi szansy, bym ci pokazała, jak bardzo się mylisz.

- Potrafiłabyś żyć bez seksu? Pamiętam, że lubiłaś tę część naszej znajomości. I to bardzo.

Była nienasycona. Oboje byli.

- A ty byś nie potrafił?

Pożałował swoich słów.

- Przez pierwsze miesiące na pewno nie. Ale nie to było moim priorytetem, tylko móc znowu chodzić.

- Musiałeś się bać.

Owszem. Wszystko, co się wydarzyło w tamtym przeklętym roku, przerażało go. Kiedy mu powiedziano, że już nigdy nie będzie chodził, jego siostry miały trzynaście i szesnaście lat, a matka już pracowała na dwóch etatach. Liczyła, że jego zarobek w Kincaid Manor pozwoli im związać koniec z końcem. Widział siebie jako ciężar, na który jego rodzina nie mogła sobie pozwolić. Jedynym sposobem na poprawienie, a nie pogorszenie ich życia, było przyjęcie brudnych pieniędzy Kincaida.

- Kolacja czeka w piecyku. Wchodź. Zjemy przed lekcją.

- Powiedziałam ci, że dziś lekcji nie będzie. Mitch żeni się o ósmej czasu wschodnioamerykańskiego. Rand ma mi przesłać relację na żywo. Dlatego dziś

wieczorem będę siedzieć przed komputerem.

- Czemu nie możesz tam pojechać?

- Po prostu nie mogę. To nie twoja sprawa.

Zapewne kolejna zagadka z testamentu Kincaida, tak jak ta godzina policyjna o północy, siedzenie w apartamencie i niewykorzystywany nauczyciel jazdy.

- Wejdz i zjedz. Zadbam, żebyś nie przegapiła ślubu.

W jadalni przyjrzała się zastawie dla dwóch osób. Zatrzymała się przy drzwiach, patrząc na niego z uwagą.

- Czego oczekujesz ode mnie, Lucasie? Powiedziałam ci, że nie jestem zainteresowana odbudową naszego małżeństwa.

- A ja nie zamierzam z niego zrezygnować bez walki. Między nami było coś wspaniałego, Nadiu. Wyjątkowego.

- Już nie jestem tamtą dziewczyną. Nigdy nie będę.

- Ani ja tamtym chłopakiem. Lecz wciąż jesteśmy małżeństwem.

Z podgrzewacza wyjął talerze z obranymi homarami, dołożył na nie porcje młodych ziemniaków oraz glazurowanych młodych marchewek i postawił je na stole. Przyniósł też świeże masło i koszyk z pieczywem.

- Czy homar nadal jest twoim ulubionym daniem?

- Tak. Sam gotowałeś?

- Nie tym razem. Uważaj na gorący talerz. - Wysunął dla niej krzesło. Wciąż nie ruszała się z miejsca. - Nadal jesteś czekoladoholiczką?

- Tak.

- To poczekaj na ciasto z gorącą czekoladą. Jeśli zabraknie nam czasu, zjemy je przed twoim komputerem albo po ślubie. Może uda mi się podłączyć komputer do telewizora, to będziemy mogli obejrzeć uroczystość na większym ekranie.

Z wyraźną rezerwą podeszła do stołu i usiadła. Wyjął szampana i otworzył go z hukiem.

- Co świętujesz?

- Odnalezienie ciebie. - Powinno to być puste stwierdzenie, ale wcale tak nie zabrzmiało.

Naprawdę cieszył się z odzyskania kontaktu z nią i z tego, że okazała się kimś innym niż samolubną egoistką, za jaką ją długo uważał. Co z kolei złego w jego pragnieniu, by ona też wiedziała, że on nie jest beznadziejnym hołyszem, za jakiego uważał go jej ojciec, ale że wielokrotnie pomnożył łapówkę od niego otrzymaną?

Zapewne się rozwiodą. Nie zakocha się w niej znowu, a kiedy przejmie LRK na własność, ona nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Pracujesz dla LRK. Co się stało z pragnieniem wywołania przewrotu w nowojorskim świecie mody?

- Plany się zmieniły. Skończyło się na liźnięciu księgowości.

Stanowczo zbyt skromnie przedstawiła swoje wykształcenie. Według Terri Nadia, oprócz tytułu magistra, miała jeszcze parę skrótów przed nazwiskiem, przede wszystkim CPA\*.

- Nie tego pragnęłaś. Miałaś cały stos projektów. - Widział je kiedyś, miała talent.

- Dorosłam i zdałam sobie sprawę, że moje szanse na podbicie Nowego Jorku są znikome lub nawet żadne.

Prawdopodobne, ale nieprawdziwe - to było oczywiste dla umiającego patrzeć.

- Dlaczego LRK, skoro kiepsko dogadywałaś się z ojcem?

\* CPA (Certified Public Accountant) - certyfikowany księgowy państwowy. (przyp. tłum.).

Przełknęła porcję jedzenia.

- A dlaczego nie? Firma jest mocna finansowo i w ostatnich latach wielokrotnie uznawano ją za najlepsze w kraju miejsce pracy.

Prawda. Z powodu siły i reputacji LRK trudno będzie je wykupić. Znalazł

jednak słaby punkt w finansach Kincaidów - kilka miliardów, które Everett pożyczył na sfinansowanie budowy pięciu nowych statków. Lucas był w trakcie wykupywania tych długów.

- Czyli nie wydziedziczył cię za ślub ze mną?

- Nie. Chyba po uśmierceniu cię zmienił zdanie.

Punkt dla drania.

- Musisz mieszkać w Dallas, nie możesz przyjąć płatnej pracy i masz wracać do domu przed północą. Przez jakie jeszcze obręcze kazał ci skakać?

- Nie chcę o nim rozmawiać. Umarł zaledwie dwa miesiące temu. Trudno mi dyskutować o jego... ostatniej woli.

W jej głosie pobrzmiwała raczej złość niż żal, co tylko wydłużyło listę pytań Lucasa dotyczących całej tej sytuacji. Miał ochotę naciskać, by uzyskać więcej szczegółów. Chciał wiedzieć, z czym ma się zmierzyć. Musiał się jednak wstrzymać. Zbyt silne lub przedwczesne naciskanie Nadii mogło ją odstraszyć.

Od czasu wypadku nauczył się, że matka miała rację. Cierpliwość to naprawdę zaleta.

Nadia odkryła, że widok mężczyzny grzebiącego w jej sprzęcie elektronicznym, nawet z odległości dziesięciu metrów, stwarza zaskakujące poczucie bliskości. Może dlatego, że nie mogła oderwać oczu od sylwetki pochylonej nad urządzeniami.

- Powinno działać - rzekł Lucas, odchodząc od telewizora LCD.

- Dziękuję. Nie musisz tego oglądać. Wiem, jak mężczyźni nienawidzą ślubów.

- Zostanę, na wypadek problemów z połączeniami.

Choć doceniała propozycję, wolałaby zostać sama. Zawsze kiepsko znosiła śluby. Mogąc tylko oglądać, bo połączenie było jednokierunkowe, czuła się trochę na uboczu, ale i tak lepsze to niż nic.

- Skąd się znasz na tych elektronicznych sztuczkach?

- Bardzo wiele spotkań biznesowych prowadzę poprzez wideokonferencje.

- Dlaczego nie osobiście?

- Podobnie jak ty nie zawsze mogę dotrzeć na miejsce. - Włączył telewizor, a potem wcisnął kilka klawiszy jej komputera. Po kilku sekundach na ekranie pojawił się obraz oświetlonego świecami wnętrza kościoła.

Odezwała się jej komórka. Dzwonił Rand.

- Witaj, wielki bracie.

Rand pojawił się na ekranie.

- Nadajemy na żywo. Sprawdź, czy masz sygnał audio i wideo.

Mówił wprost do kamery. Słyszała jego głos z komórki, a po ułamku sekundy z telewizora. Efekt echa wywoływał lekką dezorientację.

- Mam i dźwięk, i obraz. - Najstarszy brat sprawiał wrażenie szczęśliwego jak nigdy.

- Chciałbym, żebyś się z kimś przywitała. - Rand wyciągnął rękę, wydarł kamerę trzymającej ją osobie i odwrócił ją. Obraz zawirował, Nadia poczuła się trochę jak na kolejce górskiej.

Z ekranu uśmiechnęła się do niej Tara Anthony, osobista asystentka ojca i jej najlepsza przyjaciółka. Była zarumieniona, blond włosy miała zaczesane do góry. Jej dawny romans z Randem mocno ucierpiał wskutek manipulacji ojca. Zeszli się ponownie w wyniku zapisu w testamencie zmuszającego ich do bliskiej współpracy. Przyłożyła telefon Randa do ucha i pomachała do Nadii. Na palcu Tary błysnął pierścionek zaręczynowy.

- Cześć, Nadiu. Żałuję, że cię tu nie ma, ale jako kamerzystka postaram się, żebyś była tak blisko wydarzeń, jak tylko się da.

- Dziękuję. - Nadia poczuła, jak narasta w niej żal.

Pragnęła stanąć obok brata, gdy będzie składał przysięgę, tak jak oni obaj to zrobili na jej ślubie.

- Dlaczego Mitch nie zatrudnił profesjonalnego fotografa?

- Twoi bracia po zastanowieniu uznali, że nie mogą ryzykować przecieku o ślubie do mediów. Mam duże doświadczenie z kamerą, więc zgłosiłam się na ochotnika.

- Już czas - usłyszała Randa.

- Nadiu, rozłączę się teraz - odezwała się Tara w telefonie. - Pogadamy później.

- Okej, pa, Taro. - Nadia zamknęła swoją komórkę.

- Pora na mnie, Rand - powiedziała Tara, przekrzykując organowe akordy. - Oddawaj kamerę, potem idź do brata i rób za świadka.

Kiedy przejmowała kamerę, obraz zachwiał się mocno. Nadia zdumiała się. Jej przyjaciółka rozkazywała Randowi, drugiemu po ojcu na skali despotyzmu, a on grzecznie słuchał. Miłość naprawdę dysponuje magiczną mocą.

Kamera zatrzymała się na zamkniętych drzwiach w głębi kościoła. Muzyka zabrzmiała mocniej, wrota się otworzyły, po kilku sekundach wybiegł z nich ciemnowłosy malec i popędził główną nawą tak szybko, jak tylko mu na to pozwalały niezbyt jeszcze sprawne nóżki. W dłoniach ścisnął małą, białą poduszeczkę.

Rhett. Jej mały brat.

Nadia odetchnęła niepewnie. Dzieci zawsze na nią działały, ale ten chłopczyk... był tak podobny do niej, że mógłby być jej dzieckiem. Jej syn miałby dziś dziesięć lat.

Kamera podążyła za pędzącym malcem, a potem nastąpiło zbliżenie na kłęzącego, uśmiechniętego Mitcha, który złapał dziecko i przytulił je mocno.

- Dobra robota, chłopie - usłyszała słowa brata.

Wstał z Rhettem w objęciach, odebrał od niego poduszeczkę z przypiętymi obrączkami i podał Randowi. Potem jej poważny, opanowany i zawsze serio brat ucałował małą główkę przed przekazaniem dziecka nieznannej Nadii kobiecie około sześćdziesiątki.

Następne ujęcie pokazało obu braci stojących obok siebie. Sprawiali wrażenie



szczęśliwych i rozluźnionych - jakże inaczej niż na jej ślubie, podczas którego byli pełni rezerwy. Spełniali tylko rodzinny obowiązek. Czego ojciec odmówił.

Kamera skupiła się na szczupłej brunetce sunącej ku Mitchowi z promiennym uśmiechem. Carly, ciotka Rhetta, wkrótce szwagierka Nadii. Jej twarz promieniała miłością. Gdy kamera wróciła do Mitcha, na widok wyrazu jego twarzy Nadia poczuła dławienie w gardle.

Dzieliła jego szczęście. Szczerze. Tylko że oglądała coś, co jej nigdy nie będzie dane.

Miłość. Ślub. Dzieci.

Po jej policzku spłynęła łza, paląca jak ogień. Zamrugła gwałtownie, opuściła głowę i otarła oczy, mając nadzieję, że Lucas nic nie zauważył. Objął ją, oferując milczące wsparcie.

Zrzuciła jego rękę, przycisnęła dłonie do pustego brzucha i powstrzymała łkanie. Gdyby była sama, prawdopodobnie płakałaby jak dziecko.

Jakże inne byłoby jej życie, gdyby nie jej egoistyczne działania, które rozproszyły Lucasa i doprowadziły do wypadku.

A może nie?

Może i tak by ją zdradził? Lecz gdyby nie wypadek, to nawet jeśli by ją w końcu porzucił, miałyby przynajmniej syna, a może i więcej dzieci, które mogłyby wypełnić jej życie.

Z trudem skupiła się na ekranie. Tara zrobiła zbliżenie państwa młodych. Właśnie składali przysięgi i wymieniali się obrączkami.

Nadia tak mocno zacisnęła drżące wargi, że aż straciła w nich czucie. Nigdy już się w nic takiego nie zaangażuje. Nie mogła zaufać swojemu osądowi i ryzykować, że skończy jak jej matka, krzywdząc lub opuszczając wszystkich, którzy ją kochają. Zostawała jej tylko kariera, wolontariat i przygodne romanse z niekochanymi mężczyznami.

Mężczyznami, których bardziej interesowały jej pieniądze niż serce.

Puls jej przyspieszył, poczuła ciarki na skórze, a włosy zaczęły jej się jeżyć na całym ciele z powodu narastającego nagle podniecenia.

Popatrzyła na mężczyznę stojącego obok. Męża. Człowieka, który samolubnie odebrał jej wszystko co cenne i zniszczył. Czy ośmieli się wziąć od niego, co jej potrzebne? Czy zdoła wykorzystać swojego prawie byłego męża do uzyskania bezmyślnej, fizycznej rozkoszy, a potem, gdy minie rok zesłania, beznamiętnie odwrócić się i odejść?

Porzucić go. Tak jak on postąpił z nią.

To byłoby złe. Ale kuszące. Och, jak bardzo kuszące.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Gotowa na ciasto czekoladowe i resztę szampana?

Głos Lucasa za plecami zaskoczył ją nieco. Wyszedł od niej natychmiast po zakończeniu ceremonii. Nadia oglądała dalej, bo Tara, niczym reporter telewizyjny, pokazała jej gości weselnych, przedstawiła Carly, jej nową szwagierkę, jej rodziców i w końcu Rhetta, uroczego chłopaczka.

Nadia wyłączyła komputer i telewizor. Wstała i odwróciła się do gościa. Trzymał tacę z ciastem i kubelkiem z lodem, w którym znajdowała się butelka szampana.

- Nie chcę ani deseru, ani szampana - powiedziała.

Zmrużył oczy, podchodząc. Odstawił tacę na stolik i przyglądał jej się przez kilka długich sekund. Od dnia powtórnego spotkania bezbłędnie odczytywał jej nastroje.

- A czego chcesz, Nadiu? - Jego ochryply głos zdradzał, że już wiedział.

Odetchnęła głęboko i zignorowała wewnętrzny głos domagający się ostrożności.

- Ciebie.

- Dlaczego?

Nie spodziewała się utrudnień z jego strony. Kiedyś by ich nie było. Podeszła bliżej i położyła mu otwartą dłoń na piersi.

- Bo twoje pocałunki mnie podniecają, a dotyk rozpala.

Pod jej dłonią jego serce biło szybko i mocno. Wpatrywał się w nią, sekundy mijały. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mógłby odmówić, ale brak działań z jego strony był bardzo wymowny.

- Chcę się z tobą kochać, Lucas, tak jak kiedyś.

Objął ją ręką w pasie i przyciągnął do siebie. Czowała jego napięte mięśnie, ale wciąż czekał. Na co?

Chciała bezmyślnej namiętności. Uniosła się na palce i pocałowała go namiętnie. Oddech mu przyspieszył, ale pozostał opanowany. Kiedyś byłby już jak wosk w jej rękach. Czowała, że działa na niego, jednak wciąż się nie poddawał. Zmieszana trochę jego samokontrolą opadła z powrotem na pięty.

W oczach Lucasa płonął ogień, chyba nie mniejszy niż w jej podbrzuszu. O tak, pragnął jej. Dlaczego więc się powstrzymywał?

- Jesteśmy już za starzy, by się gnieść na sofie. Gdzie jest twoja sypialnia?

- Po lewej, ale nie mam prezerwatyw. Ty masz? Nie oczekiwałam...

Przy idiotycznej godzinie policyjnej wyznaczonej na północ nie spodziewała się mieć w Dallas żadnego nocnego życia.

- U mnie. Chodźmy. - Puścił ją i schylił się po tacę.

Potem odszedł.

Zaskoczona patrzyła za nim. Odszedł?

Lucas, którego znała, wziąłby ją gdziekolwiek, jakkolwiek i tyle razy, ile tylko by chciała. Najwyraźniej dojrzały Lucas wolał kontrolować wydarzenia. Trudności z uwiedzeniem go nieco ją zirytowały, ale i podekscytowały. A także nabrała dla niego szacunku. Jeśli chce go mieć, musi się postarać.

Przeszła do jego apartamentu. Z każdym krokiem rosło w niej napięcie. A może podniecenie? Tyle czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni odczuwała coś zbliżonego do żądz, że teraz wcale nie była pewna.

Szła za nim, rozpinając po drodze bluzkę. Odwiesiła ją na mijaną w przedpokojowej szafce. Buty też tu zostawiła. Sięgnęła do guzików spodni. Opadły na podłogę. Zawahała się nieco, czując wątpliwości, ale nie zatrzymała się. Kopnęła materiał pod ścianę i szła dalej.

Założyłaby się - miała nadzieję - że będzie wystarczająco zaabsorbowany jej czarnym, półprzejrystym, skąpym stanikiem i podobnymi figami, by nie kontrolować się aż tak bardzo.

Miała też w nosie bliznę. Tę mówiącą, że świat nie jest idealny. Perfekcyjny.

Kompletny.

Wszedł przed nią do pokoju. Zatrzymała się w progu. Jego sypialnia. Obejrzała szerokie łóżko przykryte kremową narzutą. Pod ścianą z oknami kilka roślin tworzyło małą dżunglę.

Odstawił tacę na szafkę i odwrócił się. Zmierzył ją powoli wzrokiem, po czym zawiesił go na bliźnie. Walczyła z chęcią zasłonięcia jej. Ta szpetna skaza definiowała, kim teraz jest, ale jeśli to go odstraszy, to jego problem.

Jego koszula opadła na podłogę. Zabrakło jej tchu. Zawsze miał piękne ciało, ale teraz był lepiej umięśniony, miał szersze ramiona, silniejszą klatkę piersiową i twardszy brzuch. Rozpiął pasek. Szmer przesuwającej się skóry zdawał się boleśnie głośny. Kopnięciem odrzucił spodnie na bok. Stał przed nią w samych czarnych, jedwabnych bokserkach.

Czas wszystko zmienił. To był zupełnie inny mężczyzna niż tamten patykowaty dwudziestojednolatek. Świetnie zbudowany, smakowity.

Zaczęła tracić cierpliwość. Na co czekał? Sięgnęła do zapięcia stanika.

- Nie.

Cichy, ale zdecydowany rozkaz powstrzymał ją. Zaintrygowana tym jego nowym podejściem opuściła ręce. Dawny Lucas już by się na nią rzucił.

Ruszył w jej stronę. W końcu. Lecz zamiast chwycić ją w objęcia, odsunął narzutę.

Dość tego zwlekania.

Objęła go i przesunęła palcem, pomiędzy jego łopatkami i w dół, wzdłuż kręgosłupa, tak jak uwielbiał. Czuła, jak pod jej dotykiem na jego ciele pojawia się gęsia skórka. Wtedy nagle natrafiła na krawędź w okolicy jego talii i zatrzymała się zaskoczona. Mówił, że miał operację, ale jakoś nie przyswoiła sobie tej informacji.

Chwyciła go za twarde biceps i odwróciła. Zatkąło ją. W krzyżowej części pleców dwie długie blizny biegły wzdłuż kręgosłupa, znikając pod bokserkami. Przesunęła po nich palcami, zsunęła mu bieliznę, by zobaczyć, gdzie się kończą.

Bokserki opadły na podłogę. Nogą posłał je w ślad za spodniami.

Ślady cięć były pięknie zagojone, ale zakres interwencji skalpela zaskoczył ją. Oboje zostali naznaczeni przez wypadek. W jego przypadku lekarzom udało się zwrócić mu przyszłość, zdolność chodzenia i prowadzenia normalnego życia. Jej odebrali przyszłość, o której marzyła, i zdolność, którą większość kobiet uważała za coś oczywistego, a część traktowała z niechęcią. Pochyliła się i przycisnęła wargi do skazy zaburzającej piękno jego opalonych pleców.

Krótki, gwałtowny wdech był jedynym ostrzeżeniem. Odwrócił się gwałtownie, chwycił ją wpół i pocałował namiętnie.

No, tak już lepiej.

Lecz po pierwszej, gwałtownej chwili jego pocałunek się zmienił. Zwodził, zwlekał, drażnił i odmawiał tego, czego pragnęła. Wtuliła się w niego, chcąc, by ją posiadał. Chciała zapomnieć. Terazniejszość. Przeszłość. Swoje wady. Chciała się poczuć tylko pożądaną kobietą.

Jego dłonie krążące po jej ciele kierowały ją trochę w stronę tego spełnienia, ale wciąż było jej mało. Chciała więcej, coraz więcej, szybciej, mocniej...

Zadowolona się eksploracją jego ciała, odnotowując w myśli odkrywane zmiany. Nie spała z nikim już od dawna. Miesiąc? Rok? Nie pamiętała, kiedy się kochała ostatni raz. Zbyt była zajęta walką z przeklętą Andvari.

Namiastka namiętności. Nic więcej. Objęła go w pasie nogami, ujęła jego głowę w dłonie i całowała, całowała...

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Za dobrze.

Czyś ty, chłopie, oszalał? Jak ktokolwiek może narzekać, że seks był za dobry?

Lucas odsunął się od Nadii, poszukując fizycznego i mentalnego dystansu. Miał plany i powinien się ich trzymać. Nie mógł pozwolić, by kochanie się z nią przesłoniło mu ostateczny cel.

Schronił się w łazience i opłukał twarz zimną wodą. Miał, czego chciał. Żonę w łóżku. Ufającą mu, otwartą. Odrobina perswazji i odpowie mu na dowolne pytanie, pozwoli mu znaleźć słabości LRK i opracować najlepszą strategię ataku.

Tylko że zatapianie się w zapachu Nadii, w miękkości jej skóry, żarze jej ciała i oszalamiających pocałunkach nie przypominało środka do celu. Było zbyt przyjemne.

Naciągnął szlafrok i wrócił do sypialni. Nadia, w jego koszuli, siedziała oparta o zagłówek łóżka. Patrzyła za nim, gdy podszedł do toaletki po tacę z ciastem i szampanem. Przysiadł się do niej, stawiając przekąskę pomiędzy nimi. Nalał szampana i podał jej kieliszek.

- Gotowa na deser? Po seksie zawsze miałaś duży apetyt.

Drgnęła. Kieliszek prawie wypadł jej z palców. Odwróciła twarz. Czyżby się zarumieniła? Czy w ogóle kiedykolwiek widział u niej rumieniec? Nie. Zawsze była twarda, agresywna, pewna tego, czego chce i że jej się to należy. Taka trochę bezlitosna jej postawa była dla niego prawdziwym afrodyzjakiem.

Ale taki sam efekt wywierała jej niespodziewana nieśmiałość.

- Pewne rzeczy chyba nigdy się nie zmieniają. - Wsunęła niewielki kawałek ciasta do ust.

Sam też wziął porcję wilgotnej, czekoladowej masy. Usta wypełnił mu ciężki aromat, maskując ostatnie ślady smaku Nadii. Ku swemu niemiłemu zaskoczeniu

żałował tej zmiany.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Dlaczego wzięłeś tamte pieniądze, Lucasie?

Powiedzenie jej niczym nie groziło.

- Ponieważ bałem się, że stanę się ciężarem dla rodziny. Twój ojciec dopilnował, bym dokładnie wiedział, jak rośnie mój dług każdego dnia pobytu w szpitalu. Przede mną była perspektywa wielu miesięcy hospitalizacji oraz licznych operacji. Wiedziałem, że mnie na to nie stać, bo gdy twój ojciec mnie zwolnił, straciłem ubezpieczenie, a to z nowej pracy jeszcze mnie nie obejmowało. Zaś natychmiastowa i nieprzerwana terapia była jedyną szansą, bym kiedykolwiek mógł chodzić. Zarobki moje i mojej matki ledwie pozwalały na związanie końca z końcem, a zanosilo się, że bardzo długo nie będę zdolny do pracy. Łapówka od twojego ojca gwarantowała nam dach nad głową i edukację moich sióstr, a nie miałem już pewności, że sam zdołam im to zapewnić.

Nadia odetchnęła. Zrozumienie złagodziło jej rysy.

- Powinnaś była wiedzieć, że myślałeś nie tylko o sobie. Zawsze na pierwszym miejscu stawiałeś rodzinę. Dziewczęta, jak je nazywałeś.

Przez chwilę była jedną z „dziewcząt” i zawsze się rozpromieniała, gdy jej to mówił.

- Twoi bracia zrobiliby dla ciebie to samo. - Punkt dla Mitcha i Randa.

- Tak, zrobiliby. Dlatego nie mogę ich teraz zawieść. Stawka jest za wysoka.

Dolał jej trochę i wskazał gestem jej brzuch.

- Co się stało?

Jej nagle zeszywnienie powiedziało mu, że dobrze wiedziała, o co pytał. Milczała tak długo, że stracił nadzieję na odpowiedź.

- Straciłam i naszego syna, i możliwość posiadania dzieci. Z powodu krwotoku musieli mi usunąć macicę.

Ich syna. Tak często się zastanawiał...



Zaskoczył go nagły ból w sercu. Żal? Na to już za późno. Przed ślubem rozmawiali o dzieciach. Oboje chcieli mieć dużą rodzinę. Nadia pragnęła, by ich dzieci były sobie bliskie wiekiem i bez kłopotu mogły się ze sobą bawić. Tego jej brakowało w jej rodzinie. Jeden z jej braci był o cztery, a drugi o sześć lat starszy. Podobnie było z nim i z Sandi, i Terri.

Kiedy w odpowiedzi na odmowę zerwania z Nadią jej ojciec zwolnił Lucasa, postarał się, żeby jego zięć nie dostał pracy w Miami, gdzie wielu ludzi miało powiązania z Kincaidami. W końcu jego rodzina znalazła zajęcie w innej firmie architektury krajobrazu. Płaca była dużo skromniejsza niż przedtem, istniały jednak szanse awansu.

- Przykro mi, że straciliśmy syna. - W tych słowach była taka sama pustka jak w nim.

- Mogłam przejść operację plastyczną dla ukrycia blizny, ale po co? Nie wsadzą mi do środka tego, co wyjęli.

Nawet idiota by się zorientował, że nie w bliźnie rzecz. Chciał poznać szczegóły, ale teraz, kiedy Nadia miała tę obojętną minę, na pewno nie piśnie ani słowa. Będzie musiał delikatnie wyciągnąć z niej informacje istotne dla realizacji jego planów.

- Czy dlatego nie wyszłaś za męża? Bo nie możesz mieć dzieci?

- A po co? Nie ma rodziny, nie ma powodu do małżeństwa. Nie wyszłam za męża też dlatego, że odkryłam, że moja matka cierpiała na zaburzenia emocjonalne. Jej wypadek był samobójstwem. Wolą się wbić sportowym wozem taty w drzewo niż zostać w domu i zadbać o tych, którzy jej potrzebowali.

- Co masz na myśli, mówiąc o zaburzeniach emocjonalnych?

- Cierpiała na psychozę maniakalno-depresyjną, czy bipolarną według najnowszej terminologii. Uważa się ją za schorzenie dziedziczne. I choć psychiatrzy twierdzą chórem, że nie mam defektywnego genu, nikt nie może być tego stuprocentowo pewien. Nigdy nie wyjdę za męża, nie adoptuję dzieci i nie zaryzykuję, by

ktokolwiek był ode mnie zależny.

Te rewelacje tłumaczyły wieści o jej szaleństwach rozpowszechniane przez tabloidy. Żyła, jakby nie miała nic do stracenia.

Poruszyła się, ukazując wewnętrzną stronę uda i rozsiewając miłosny aromat. Poczul przyływ podniecenia. Znow jej zapragnął, chciał się z nią kochać tak długo, aż zniknie nawet ślad jakiegokolwiek potrzeby. I dopiero potem pozwoli jej odejść.

Miał jednak obowiązki. Musi wyjechać za trzydzieści sześć godzin. Chyba że...

- Pojedź ze mną do Singapuru.

- Co takiego?

- W poniedziałek wcześniej rano muszę być w Singapurze, by sfinalizować interes. Prowadzący z drugiej strony negocjacje jest seksistowskim palantem. Odmawia rozmów z Sandi.

- Nie mogę.

- Możesz pracować nad tą zbiórką funduszy przez sieć.

Popatrzyła mu w oczy. Przez chwilę wahała się, czy coś powiedzieć.

- Nie wolno mi wyjechać z Dallas z powodu idiotycznego testamentu ojca. Muszę spędzić w tym mieszkaniu trzysta sześćdziesiąt pięć kolejnych dni.

To tłumaczyło złość w jej głosie przy każdym wspomnieniu o ojcu, który zawsze zbyt ściśle kontrolował ukochaną córeczkę. Jedenaście lat temu, gdy Lucas próbował ostrzec Kincaida, że jeśli nie rozluźni trochę więzów, ryzykuje utratę Nadii, dostał wymówienie.

- A jeśli tego nie zrobisz?

- Już ci mówiłam. Stracimy spadek. Tata wyznaczył każdemu z nas zadanie do wykonania. Jeśli którekolwiek z nas zawiedzie, wtedy wszystko, co posiadał, zostanie sprzedane najgorszemu wrogowi za jednego dolara. Mitch i Rand są już bliscy spełnienia nałożonych na nich warunków. Ja jestem największą niewiadomą,

choć wszyscy się spodziewają, że mi się nie uda. Dlatego nie mogę tego zepsuć.

Ryzyko sprzątnięcia LRK sprzed nosa Lucasowi zdenerwowało go.

- Najgorszemu wrogowi?

- Jaki ojciec tak wrabia własne dzieci? - spytała.

Taki jak mój. Nie powiedział tego jednak na głos. Nigdy nie mówił Nadii o nic niewartym draniu, który poderwał Lilę Stone, ożenił się z nią, nie wspominając, że już ma żonę i dzieci, a potem zniknął bez słowa. Powiedział, że nie ma ojca, a kiedy założyła, że nie żyje, nie wyprowadzał jej z błędu.

- To śmieszne. Odebrał mi moją pracę, jedyną rzecz, w której jestem dobra, i zmusił do porzucenia domu i przyjaciół. Nałożył na mnie godzinę policyjną, dał kieszonkowe, pozbawił pokojówki, kucharza i kierowcy. Potraktował mnie, jakbym była nieposłuszną trzynastolatką, uziemiając mnie i dając szlaban na wszystko.

- To trochę trudne, ale niezaskakujące. Wydawanie bezwzględnych dekretów było w stylu Everetta Kincaida. A kim jest ten wróg?

Popatrzyła na niego, zamrugła i uśmiechnęła się.

- Nie mówmy już o moim stukniętym ojcu. Kochajmy się. Uwielbiam to, co ze mną robisz, Lucas. Pomagasz mi zapomnieć o tym idiotycznym testamencie.

Przesunęła dłonią po jego szyi i obojczyku, wywołując burzę emocji. Dlaczego żadna inna kobieta tak na niego nie działała?

- Jeśli nie możesz ze mną jechać, to daj mi swój czas do niedzielnej nocy.

- Ale zdobywanie funduszy dla biblioteki...

- Co zamierzasz zrobić?

- Ma się odbyć aukcja. W tym tygodniu muszę znaleźć przedmioty na nią i wypuścić materiały promocyjne.

- Jeśli spędzisz ze mną całą sobotę i niedzielę, dam ci listę firm i ludzi w Dallas, którzy ofiarują coś na tę aukcję.

Przekrzywiła głowę, popatrzyła na niego wzrokiem najpierw zaciekawionym, potem coraz bardziej bezczelnym.

- Jesteś pewien, że zdołasz spełnić swoje obietnice?

Dopadła go kolejna fala pożądania. Nie tylko o fantach na aukcję mówiła.

- Oczywiście. Mogę ci dać wszystko, czego chcesz.

- Trzymam cię za słowo. Założę się, że Mitch i Rand ofiarują rejs... przy założeniu, że interes wciąż jeszcze będzie nasz, gdy zwycięzca zechce odebrać wygraną.

- Jestem pewien, że twój ojciec miał wielu wrogów, ale komu pozostawi majątek?

- Mardi Gras Cruising.

Aż go zatkało. Przez głowę przemknęła mu lawina myśli.

Po pierwsze, warunki testamentu Kincaida, wraz z zakupem apartamentu, oznaczały tylko jedno: Everett Kincaid przyglądał mu się przez te wszystkie lata. Ale jak? I dlaczego?

Lucas uważał, że wrogów należy znać najlepiej, jak się da. Czy Kincaid hołdował tej samej zasadzie? Czy też jest w tym coś więcej?

- Dlaczego Mardi Gras?

Odwróciła się, przewracając oczami.

- Nie mam pojęcia. Ojciec gardził ich prezesem. Od lat toczyli wojnę, bo Mardi Gras bezustannie wpychała się na nasz rynek, przelicytowując nas przy licznych kontraktach.

Lucas dobrze wiedział, że prezes Mardi Gras to agresywny rzeźnik działający o włos od przekroczenia prawa. Właśnie dlatego go zatrudnił. Ten człowiek był żądny pieniędzy i władzy, co oznaczało, że nie zamierzał zdradzać, że wiele z jego decyzji wynikało z bezpośrednich poleceń trzymającego się w cieniu szefa.

W tym momencie olśniła go myśl, że LRK może być jego - wystarczy tylko wyciągnąć Nadię z Dallas.

Zastanowił się. Czy nieuczciwa wygrana da mu choć połowę satysfakcji, jaką miałby, przejmując LRK dzięki własnej przemyślności i umiejętnościom?

Poza tym, czy jeśli dostanie to, czego chce, podane na talerzu przez człowieka, który go nauczył, co oznacza porażka, to nadal będzie to można nazwać zemstą?

- Nadiu, obudź się - powtórzył niecierpliwie Lucas.

Uśmiechnęła się i wtuliła głębiej w ciepło pościeli. Absolutnie nie zamierzała nikomu pozwolić, by wyrwał ją ze snu, którego nie miała od dobrych pięciu lat: o Lucasie przytulającym ją i kochającym się z nią. Bardzo tęskniła za tym snem.

- Odczep się.

- Już prawie północ.

- Mam to gdzieś - wymamrotała.

Z doświadczenia wiedziała, że jeśli otworzy oczy, w jej sypialni nie będzie Lucasa. Nieważne, jak bardzo była przekonana, że słyszy jego głos.

Poduszka pod jej głową podniosła się, zrzucając ją na bok. Latająca poduszka? Sięgnęła na ślepo w ciemność. Trafiła na jędrny pośladek, a nie egipską bawełnę i gęsi puch. Z kim tym razem się przespalała? Kolejny nieszczęsny dureń, który przypominał jej zmarłego męża?

Tylko że już od bardzo dawna nie uwiodła żadnego sobowtóra Lucasa...

Który był martwy.

Zaskoczona usiadła. Pstryknął wyłącznik lampy. Skrzywiła się i osłoniła oczy, ale zdążyła zobaczyć swojego męża naciągającego slipy. Przeszły ją ciarki na wspomnienie o tym, jak spędzili ostatnie kilka godzin.

- Wstawaj. Musisz wrócić do swojego mieszkania.

Mieszkania. Północ. Panika zdmuchnęła ostatnie resztki zaspania. Zerwała się i rozejrzała po podłodze.

- Moje ubranie. Nie wiem, gdzie zostawiłam...

- Nie masz czasu na szukanie swojego ubrania. Włóż to. - Podał jej szlafrok.

Wsuwając ręce w czarne, jedwabne rękawy, zerknęła na zegarek. Za dwie

północ. Prawie nawaliła. Ojciec miał rację. Naprawdę potrzebowała opiekuna, a w przyszłości musi bardziej uważać.

- Nie mogę uwierzyć, że niemal wszystko zawaliłam. Dziękuję, że mnie obudziliś.

- Chodź. - Chwycił ją za łokieć i zaciągnął do jej mieszkania szybkimi, pełnymi złości krokami. Pospieszyła za nim, po drodze łapiąc porozrzucane ubrania.

Przebiegli przez hol i wpadli w niezamknięte drzwi w chwili, gdy zegar zaczął wybijać północ. Odetchnęła głęboko.

- Udało nam się, ale było zbyt blisko. Wchodzisz?

Miała nadzieję, że to zrobi, choć nie sprawiał wrażenia, by miał ochotę na trzecią powtórkę. Był jakiś spięty, a może nawet rozzłoszczony. Dlaczego?

- Lucas, co się dzieje?

- Dobranoc, Nadiu.

Złapała go za łokieć, gdy odchodził.

- Testament stanowi, że nie mogę wydawać przyjęć, co nie oznacza przenocowania kogoś.

- Prześpij się. Wczesnie rano dam ci lekcję jazdy, a potem zwiedzimy kilka miejscowych ogrodów.

- Ale...

Przyciągnął ją do siebie i pocałował krótko i mocno.

- Zobaczymy się rano.

Odwrócił się, wszedł do siebie i zamknął drzwi. Ha, nic takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Mężczyźni jej nie odtrącali. Gorzka pigułka do przełknięcia, zwłaszcza że sama postępowała wielokrotnie tak samo, gdy próbowała zapomnieć o swoim zmarłym... o swoim mężu.

Wykorzystywała mężczyzn dla kilku chwil zapomnienia, a potem ich wyrzucała. Nagle stwierdziła, że wcale nie lubi osoby, którą się stała. Wykorzystywanie ludzi to paskudne przyzwyczajenie, którego się będzie musiała pozbyć.

- Zamknij oczy.

Nadia przeniosła wzrok z pięknej lilii na twarz Lucasa.

- Dlaczego?

- Po prostu zrób to.

Kiedyś powiedziałaaby mu, co może zrobić z rozkazywaniem jej, ale lata nauki postępowania z ojcem złagodziły nieco jej szorstkość.

- Twierdzisz, że nauczyłaś się gotować. Zobaczmy, jak dobra jesteś w rozpoznawaniu składników.

Z tylnej kieszeni dżinsów wyciągnął białą chustkę, złożył ją najpierw w trójkąt, a potem w opaskę, którą rozciągnął przed sobą.

Zaschło jej w ustach.

- Zasłonisz mi oczy?

- Tak.

Dotychczas nie uprawiali perwersyjnego seksu, nie spodziewała się, że zaczną w sobotnie popołudnie, w Texas Discovery Gardens\*, w otoczeniu mnóstwa zwiedzających, w tym dzieci.

*\* Texas Discovery Gardens - ogród botaniczny w Dallas, otwarty w 1936 r. (przyp. tłum.).*

Z drugiej strony w domu nie miałyby nic przeciwko uczestnictwu w dowolnych zabawach. Kochanie się z nim ostatniej nocy sprawiło, że po raz pierwszy od lat poczuła się spełniona.

- Ogród woni, znajdujący się za tobą, został zbudowany z myślą o niewidomych. - Zaczęła się odwracać, ale przytrzymał ją. - Nie oszukuj.

Postanowiła dać mu nieco swobody. Znajdowali się w publicznym miejscu. Co mogło pójść źle?

- Dobrze, ale bez opaski na oczach.

- Nie ufasz mi, Nadiu?

Pytanie za parę miliardów. Czy w ogóle kiedykolwiek będzie mogła zaufać

Lucasowi? Nie miała na to odpowiedzi. Jeszcze.

- Dobrze, zrób to.

Stanął za nią. Biały materiał zasłonił jej oczy. Po wyłączeniu wzroku wyostrzyły jej się pozostałe zmysły. Czowała ciepło promieniujące z jego ciała, wonie lilii przed sobą i mężczyzny z tyłu. Oparła się o niego, a on objął ją w pasie. Nozdrza wypełnił jej zapach jego wody kolońskiej wymieszany z jego naturalnym wywołanym długim spacerem w ten gorący, sierpniowy dzień. Przycisnął ją mocniej. Ułamek sekundy później poczuła dotyk jego warg na swojej szyi.

- Gotowa?

- Jasne.

- Dobrze.

Schwycił ją za ramiona, odwrócił i poprowadził kilka metrów do przodu. Jego palce na jej odkrytej skórze wywoływały w niej dreszcze. Ujął ją za rękę, poprowadził jej palce po spiczastych listkach, po czym podsunął je pod jej nos.

- Co to za zapach?

- Rozmaryn.

- Dobrze. Ale to było łatwe.

Poprowadził ją dalej. Po pięciu krokach stanęli. Tym razem dotknął jej drugiej ręki. Znowu ocknęło się w niej pożądanie. Przesunął ich połączone dłonie po chłodnej, gładkiej roślinie. Razem unieśli palce do jej nosa.

Powąchała, wyczuła jego i...

- Mięta.

- Bardzo dobrze. - Jego wargi musnęły jej ucho, kiedy szeptał te słowa.

Prawie jęknęła, ale ze względu na opaskę nie wiedziała, czy nie ma kogoś w pobliżu i nie ośmieliła się. Podobnie jak w przypadku kochania się w kościele zaraz po ślubie myślała, że mogliby zostać przyłapani, napelniła ją nieprzyzwoitym dreszczykiem. Pchnął ją biodrami naprzód. Poczuła, że ta gra zadziałała i na niego.

Znowu ją zatrzymał, lecz tym razem nie chwycił jej za rękę, tylko objął od



przodu i przesunął dłonie powoli w górę. Jego kciuki musnęły z boków jej biust.

- Sięgnij w lewo - powiedział, muskając palcami jej biust od spodu, budząc dreszcz w jej brzuchu. - Nieco dalej.

To samo sobie pomyślała. Niewiele brakowało, by dotknął jej prawej sutki. Całą siłą woli powstrzymała się, żeby się nie poruszyć i nie wepchnąć mu piersi w dłoń. Palcami trafiła na liście. Delikatnie pogłaskała je tak, jak chciałaby muskać skórę Lucasa.

- Jaki to zapach? - szepnął jej do ucha.

Twój. Czuła jego woń. I blask słońca. I kwiaty. Wyteżyła pamięć.

- Tymianek.

Puścił ją. Poczowała chłód w miejscach, w których jej dotykał. Potem dłoń ujęła ją pod brodę, przekrzywiła głowę i na jej ustach delikatnie, jak siadający motyl, spoczęły jego wargi.

Ściągnął z niej opaskę.

- Masz wybór: albo kontynuujemy spacer i idziemy do akwarium, albo wracamy do apartamentu.

Zaparło jej dech na widok namiętności płonącej w jego oczach. Znow się w nim zakochiwała. Pójście z nim teraz do łóżka oznaczałoby poddanie się temu uczuciu.

Ośmieli się tak zaryzykować?

A czy w ogóle ma wybór?

Nie, bo najprawdopodobniej nienawidziła Lucasa za odejście równie mocno, jak była w nim zakochana.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy w poniedziałkowe popołudnie Nadia wyszła z biblioteki i zobaczyła stojącą pod latarnią limuzynę, poczuła dojmującą tęsknotę.

Stare przyzwyczajenia trudno wyplenić.

Zerknęła na zegarek, zniesmaczona sama sobą - straciła poczucie czasu i została dłużej, niż powinna, bo od wyjazdu Lucasa mieszkanie zrobiło się jakieś puste. Będzie się musiała szarpnąć na taksówkę. Kiedyś zrobiłaby to bez zastanowienia, teraz oznaczało to konieczność rezygnacji z czegoś innego.

Popatrzyła w zachmurzone nieco niebo. Tak, tato, uczę się identyfikować z większością naszej populacji.

Skreśliła na chodnik i rozejrzała się po opustoszałej ulicy. Poniedziałkowy wieczór. W tej części śródmieścia niewiele się działo.

- Panna Kincaid?

Odwróciła się błyskawicznie. Smagły mężczyzna w mundurze szofera, koło trzydziestki, muskularny, szedł w jej stronę. Odezwały się lata wzmożonej ostrożności. Mogła żyć bez ochroniarzy, wciąż jednak była warta miliardy i porwanie mogło być prawdopodobne. Ojciec nudził na ten temat bez końca, zwłaszcza po tym prawie udanym zamachu, gdy miała dwanaście lat.

- Stój!

Mężczyzna zatrzymał się o trzy metry i uniósł ręce.

- Nazywam się Paulo. Pan Stone poprosił mnie, bym zapewnił pani transport, kiedy jego nie ma w mieście.

Akurat. Nie urodziła się wczoraj. W życiu nie wsiądzie do nieznanego samochodu z przyciemnionymi szybami tylko dlatego, że kierowca zna nazwisko Lucasa.

- Nie, dziękuję za propozycję podwiezienia. - Cofnęła się w stronę biblioteki. Drzwi były zamknięte, mogła w nie jednak walić i krzyczeć, aż ktoś ją usłyszy.

Gdyby to nie poskutkowało, mogła pobiec na parking dla personelu za budynkiem w nadziei, że złapie Mary, zanim ta odjedzie. Oczywiście gdyby musiała biegać, sandałki od Christiana Louboutina trzeba będzie zostawić na chodniku. Buty warte tysiąc dolarów to niewielka cena za bezpieczeństwo.

- Mówił, że pani prawdopodobnie odmówi i w takim wypadku powinienem do niego zadzwonić.

Sięgnął do kieszeni. Szykowała się do zrzucenia butów i ucieczki, ale nie wyjął broni, tylko komórkę. Wyciągając rękę z aparatem, mężczyzna ruszył w jej stronę.

- Stój! - powtórzyła i wyciągnęła swoją z torebki.

Zadzwoń na policję, jeśli ten człowiek nie odejdzie.

- Tak jest, proszę pani. Zadzwonię do pana Stone'a i włączę głośnik.

Wstukał numer. Wyzwała się od idiotek, że nie zwała, kiedy był zajęty, ale mundur miał porządny, leżący tak, jakby firma przewozowa uszyła mu go na miarę. Tylko najlepsze w branży tak robiły. Może jednak Lucas wynajął transport dla niej? Na tę myśl zrobiło jej się ciepło koło serca.

- Znalazłeś ją? - dobiegł z głośniczka głos Lucasa.

- Tak, proszę pana. Pani Kincaid stoi przede mną. Zareagowała dokładnie tak, jak pan przewidział. Mógłby ją pan przekonać, że jestem tu oficjalnie?

- Nadiu, słyszysz mnie?

- Tak - podniosła głos, żeby było ją słychać z odległości.

Lucas wyjechał mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu i chciała mu opowiedzieć, jak jej idzie z organizacją zdobywania funduszy. Mając listę otrzymaną od niego oraz tę, którą sama sporządziła, przesiedziała cały dzień przy telefonie i zebrała dużo więcej fantów, niż się spodziewała. Ta aukcja mogła się okazać najbardziej lukratywną w historii biblioteki.

- W czasie mojej nieobecności Paulo jest do twojej dyspozycji. Nie chcę, żebyś jeździła pociągiem.

Ucieszyło ją, że o niej pomyślał.

- Nie jestem aż tak głupia, żeby o tej porze pętać się po pustych pociągach.  
Zamierzałam wezwać taksówkę.

- Teraz już nie musisz.

Miała ochotę zaprotestować. W końcu usiłowała stanąć na własnych nogach i dowieść, że potrafi. Lecz odmowa dla samej zasady byłaby czystą głupotą.

- Będę się mniej denerwował, jeśli skorzystasz z limuzyny, zwłaszcza wracając po nocy z biblioteki - odezwał się Lucas, jakby czytał w jej myślach.

Coś w niej ustąpiło. Lucas próbował się nią opiekować. Jedenaście lat temu robił to samo.

- Mogłeś mnie uprzedzić, że wynajmiesz limuzynę.

- Paulo, proszę, wyłącz głośnik i oddaj aparat pani Kincaid.

Szofer wykonał polecenie. Nadia przycisnęła aparat do ucha.

- Przed wyjazdem zanadto odwróciłaś moją uwagę i zapomniałem wziąć od ciebie numer komórki.

Poczuła oblewającą ją falę gorąca. Sobotnią noc i prawie całą niedzielę spędzili w łóżku na wzajemnym, szczegółowym badaniu swoich ciał.

- Dzięki, że o mnie pomyślałeś, Lucas.

Paulo otworzył tylne drzwiczki limuzyny. Wsiadła. Zapadła się w miękkie, skórzane siedzenie - miła odmiana po długim dniu na twardym, tanim krześle w bibliotece.

- Zrobiliśmy u ciebie straszny bałagan. Poprosiłem Elle, żeby tam posprzątała.

Poczuła się niepewnie. Jej łóżko ledwo przetrwało w całości ten weekend, a potem załatwili kuchnię, gdy nocne gotowanie nago zmieniło się w burzliwy seks na stole, z bitą śmietaną, dżemem malinowym i sosem czekoladowym. Zaczzerwieniła się.

- Już posprzątałam, ale dzięki.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Ojciec uważał, że nie zdołam opanować obowiązków zwyczajnych ludzi, takich jak gotowanie i sprzątanie po sobie. Lubię udowodniać, że się mylił. - A co jeszcze dziwniejsze, lubiła, gdy jej mieszkanie lśniło i to w efekcie jej pracy.

- Everett nigdy cię nie doceniał.

- Wiem. Jest we mnie dużo więcej niż tylko ładna buzia.

Zachichotał.

- To prawda. Pomyśl o mnie, kiedy będziesz się dziś kładła do łóżka.

- Dobrze.

- A będziesz się dotykać tak, jak ja to z tobą robiłem?

Z trudem złapała oddech.

- To będę wiedziała tylko ja, tobie pozostaje wyobraźnia.

Cmoknął z dezaprobatą.

- Możesz mi wierzyć, że jej użyję. Zobaczymy się za kilka dni i pogadamy o szczegółach twoich samotnych nocy. Dobranoc, Nadiu.

Zakończył rozmowę. Oddała telefon kierowcy.

- Dzięki.

- Chce pani jechać prosto do domu, czy też mamy się zatrzymać gdzieś po drodze?

- Prosto do domu. To znaczy do apartamentu.

Pierwszy raz chciała wracać do miejsca, w którym przeżyła wspaniałą noc, po której nastąpiła seria równie cudownych dni. Chciała się położyć na nieupranej poduszce, pachnącej Lucasem.

Zabawne. Uwięzienie w Dallas już nie wydawało jej się wyrokiem śmierci. Miała nadzieję, że tym razem historia się nie powtórzy. Bo nie była pewna, czy przeżyłaby ponowną jego utratę.

W piątkowy wieczór zabrzęczała jej komórka.

Lucas?

Wyciągnęła aparat i cofnęła się do małego pokoiku przydzielonego jej do pracy przez Mary. Okazało się, że to Rand, nie mąż.

- Cześć, wielki bracie. Czy ślub Mitcha nasunął wam z Tarą jakiś pomysł?

- Nie obawiaj się. Kiedy ustalimy datę, pierwsza się dowiesz. Tym razem nie pozwolę Tarze się wywinać. Nadiu, co możesz mi powiedzieć o Andvari? - spytał napiętym głosem.

- A o co chodzi?

- Teckitron, filia Andvari, właśnie wykupił długi, które tata zaciągnął na sfinansowanie nowych statków.

Drgnęła, zaskoczona.

- Po co brał pożyczkę? Mieliśmy dość swoich pieniędzy, prawda?

- Mitch twierdzi, że tata miał jakiś wspaniały pomysł oszczędzenia pieniędzy przez włączenie zobowiązań finansowych do kosztów podatkowych i nie dawał sobie nic przetłumaczyć. Wiesz, jaki był, kiedy wpadł na jakiś pomysł. Pamiętaj też, że tata już włożył poważną część gotówki w renowację statków, a z tego duże kwoty zdefraudowano. Mitch i ja wciąż porządkujemy ten bałagan i prowadzimy audyty, gdzie się da, żeby się upewnić, że nie będzie już więcej kradzieży poza tymi już nam znanymi. Musisz mi powiedzieć o Andvari wszystko, co wiesz.

- To pilna sprawa?

- Muszę się dowiedzieć, kto stoi za tą firmą. Jeśli do podkupowania przez nią naszych dostawców w ciągu kilku ostatnich lat dodasz niedawne wykupienie kredytu, przestaje to wyglądać jak zbieg okoliczności.

- To znaczy?

- To znaczy, że ktoś kopie dołki pod LRK. Prawdopodobnie osobista zemsta. Nic dziwnego, tata narobił sobie wrogów.

Rand nigdy nie miał skłonności do paranoi czy nieprzemyślanych wniosków. Jeśli się martwił, to miał ku temu powody. Tato, coś ty narobił?

- Mam plik o Andvari w komputerze. Jest żałośnie niekompletny, bo nie udało

mi się przedrzeć przez ich biurokrację. Powiem asystentce, żeby ci go przesłała. A w jak głębokie bagno nas to wrzuciło, Rand? Przy najgorszym scenariuszu, jeśli Teckitron zażąda natychmiastowej spłaty, zdołamy to zrobić, prawda?

Włos jej się zjeżył, bo w słuchawce zapadła długa chwila pełnej napięcia ciszy.

- Gdybyśmy mieli dość czasu, zebralibyśmy potrzebny kapitał, lecz wskutek warunków testamentu znaleźliśmy się w trudnej sytuacji finansowej. Wszystko jest zamrożone. Nie możemy zlikwidować żadnych aktywów ani inwestycji.

- Dla nowych inwestorów stanowimy duże ryzyko, bo każde z nas może zaprzepaścić wszystko, naruszając któryś z warunków tego idiotycznego testamentu. Jeśli się tak zdarzy, cały majątek Kincaidów diabli wezmą i zabezpieczenie zniknie. A bez niego nikt nie zaryzykuje milionów.

- Oby niebiosy się zlitowały, jeśli informacje o tych klauzulach przenikną do mediów. Prasa miałaby święto. Dopiero co się uspokoiło po śmierci taty. Jeśli się dowiedzą o wykupie kredytu, będzie to kolejny kopniak w gniazdo szerszeni.

Kiepsko.

- Niech się tym zajmą nasi rzecznicy prasowi i przygotują oświadczenie. Tylko nam samym może się udać stworzyć korzystne wrażenie.

- Załatwię to - przerwał.

Jego niepewne milczenie spowodowało, że zeszywniała.

- A jak ty się czujesz? I co ze Stone'em?

Postanowiła niczego nie ukrywać.

- Znow jestem w nim zakochana.

- Nadiu...

- Nie pouczaj mnie. Lucas tak samo jest ofiarą machinacji taty jak ja, ty czy Tara. Ojciec nie miał racji, rozdzielając was. W moim i Lucasa przypadku także się mylił.

- Jest pewna różnica, ona nie wzięła od taty pieniędzy.

Fakt. Ojciec zaoferował Tarze niesamowitą sumę za zostanie jego kochanką. Nie tylko odmówiła, ale odrzuciła prestiżową pozycję osobistej asystentki Everetta Kincaida i odcięła się od firmy oraz przyjaciół, w tym Nadii.

Nadia musiała przyznać, że bolało ją, że Lucas nie okazał się tak szlachetny.

- Miał poważne powody, by przyjąć te pieniądze.

- Zrzuć klapki z oczu, Nadiu. Jeśli cię zdradził raz, zrobi to ponownie.

- Nie sędzę.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. W każdym razie, cokolwiek się zdarzy, będę przy tobie.

W godzinę po niepokojącej rozmowie z bratem rozległ się sygnał oznajmiający, że na laptop Nadii przyszło pytanie.

Bojąc się, że to następne złe wieści od Randa, niechętnie odłożyła imponującą listę fantów zebranych na aukcję na rzecz biblioteki i odwróciła laptopa w swoją stronę.

*LDStone: Pracujesz?*

Puls jej przyspieszył, kiedy zobaczyła nazwisko w okienku nadawcy, w lewym, górnym rogu ekranu. Lucas Daniel Stone. Nazwała ich syna po ojcu i myślała o nim jako o Danielu. Oczy ją zapiekły, a ręce zadrżały, gdy sięgała do klawiatury.

*NEKincaid: Tak. Skąd masz mój identyfikator?*

*LDStone: Mam swoje sposoby. Chciałbym ci je pokazać, Nadiu. Najchętniej w łóżku. Nago.*

Cała zapłonęła z pożądania. Nie było go już tydzień. Dzwonił przynajmniej raz dziennie i szczegółowo opowiadał, co by z nią zrobił, gdyby był w Dallas, a nie



po przeciwnej stronie globu.

*LDStone: Wieczorem wracam do domu. Tym razem to ja założę opaskę na oczy.*

Zabrakło jej tchu. Odciągnęła od nagle spoconego ciała koszulkę z Juicy Couture. W sobotę wykorzystali opaskę na oczy. Wciąż przechodziły ją ciarki na wspomnienie bezradnego oczekiwania na jego niespodziewany dotyk.

*NEKincaid: Nie mogę się doczekać. Tylko że prawdopodobnie się spóźnię. Dziś wieczorem mam spotkanie z komitetem organizacyjnym. Muszę im przekazać informacje, jaki jest stan przygotowań do aukcji. Są trochę niepewni, bo mnie nie znają.*

*LDStone: Załatwisz ich. Poczekam. A kiedy będziemy sam na sam...*

Podskoczyła, usłyszawszy chrząknięcie tuż za plecami. Mary Branch stała tuż obok, uśmiechając się szeroko. Nadia czując, jak się czerwieni, szybko wstukała:

*NEKincaid: Nie jestem sama. Muszę kończyć.*

- Czy to ten pan Stone?

*LDStone: Do wieczora.*

Nadia zatrzasnęła zdecydowanie laptopa.

- Tak.

- Nie mogę się doczekać spotkania z nim. To dla nas błogosławieństwo losu,

że cię nam zarekomendował.

Lodowaty dreszcz niepokoju przeleciał Nadii po kręgosłupie.

Zbiegi okoliczności się zdarzają.

- Lucas polecił mnie na to stanowisko?

- Tak. I mieliśmy ogromne szczęście, że zadzwonił do nas zaledwie w kilka godzin po nagłej rezygnacji naszej organizatorki.

Tym razem dreszcz zamienił się w lodowaty wodospad.

Pozwalasz, żeby telefon od Randa wytrącił cię z równowagi. Nikt nie zamierza przejąć LRK ani ciebie.

Jednak ostrzeżenie brata dźwięczało jej w głowie: „Jeśli raz cię zdradził, zrobi to ponownie”.

- Czy jest jakaś szansa, żeby zebrać komitet przed lunchem, a nie po nim?

Musiała jak najszybciej porozmawiać z Lucasem, żeby odzyskać równowagę.

Nadia wiedziała, że tym, co osiągnęła w ciągu zaledwie tygodnia, rzuciła komitet na kolana. Jednak kompletnie jej to nie obchodziło. No, może trochę. Jej sukces albo porażka w Dallas zależały od jej własnych wysiłków. Nie nepotyzmu czy ojcowskich manipulacji. Nikt nie posprząta, jeśli zabałagani sobie życie. Choć było to czasem niepokojące, jednocześnie w dziwny sposób dawało poczucie wolności i siły. Perspektywa porażki nie przerażała jej już tak bardzo, jak kilka tygodni temu.

Jednak chciała - nie, musiała - zobaczyć Lucasa. Niecierpliwie przytupywała w windzie sunącej na pięćdziesiąte piętro.

Lucas w jakiś sposób zdołał załatwić jej pracę przy bibliotecznej aukcji. Jak i dlaczego? Mary musiała zdać sobie sprawę, że wygadała coś, czego nie powinna, bo gdy Nadia zaczęła naciskać, zamknęła się w sobie i odmówiła odpowiedzi.

W końcu drzwi windy się rozsunęły. Nadia szybko ruszyła naprzód i musiała się gwałtownie zatrzymać, bo prawie wpadła na gospodynię Lucasa wchodzącą do kabiny.

- Witaj, Ella. Jest już w domu? - W trakcie dziewięcioletniego wygnania zaprzyjaźniła się z tą kobietą.

- Witaj, Nadiu. Jest i czeka na ciebie. Mam cię zapowiedzieć?

- Mogłabyś tylko mnie wpuścić? Zrobię mu niespodziankę.

W oczach Elli mignął figlarny błysk.

- Chyba mogę. Catering już dostarczył posiłek. Przystawki są w lodówce, danie główne grzeje się w piecyku. Deser w zamrażarce wygląda przepysznie. Nakryłam do stołu. Pan Stone powiedział, że obsłużycie się sami. Czy chciałabyś, żebym nalewała wino?

- Dziękuję, nie trzeba, poradzę sobie. Wiem, że się spieszysz do domu, do chłopców.

- Zanim zdemolują mieszkanie i pożrą wszystko, co nie ma futra i nie miauczy. - Gospodyni uśmiechnęła się przy tych słowach, przekreśliła klucz i otworzyła drzwi. Odsunęła się na bok, wpuszczając Nadie.

Ella miała takie życie, jakie Nadia wymarzyła dla siebie i Lucasa. Miała trzech synów, którzy doprowadzali ją do szału wybrykami w szkole i wyczynami sportowymi, ale i ona, i jej mąż kochali każdą chwilę tych kłopotów.

- Jeśli zmienisz zdanie co do posprzątania twojego apartamentu, wspomnij tylko mnie albo panu Stone'owi, a zaraz się zjawię.

- Dziękuję, zapamiętam. Lecz postanowiłam, że wszystkim pokażę, jak samodzielnie gotuję i sprzątam. Na razie, dzięki tej liście porad, którą mi dałaś w pierwszym tygodniu, wygrywam.

- Rozumiem.

Na pewno nie, bo sama Nadia nie pojmowała tych manipulacji ojca z za grobu.

- Baw się dobrze.

- O tak. Ty też. - Ella pomachała ręką i skierowała się do windy.

Nadia zamknęła drzwi i odłożyła torbę na stolik, obok teczki Lucasa.

- Lucas?

Odpowiedziało jej milczenie. Sprawdziła salon, potem kuchnię. Oba pomieszczenia były puste. Stukając obcasami po twardym parkiecie, podeszła do jego sypialni.

- Lucas?

Gdy podchodziła do drzwi, usłyszała odgłos prysznica. Uśmiechnęła się. Powinna do niego dołączyć.

Lecz po tak ciężkim dniu miała ochotę najpierw odprężyć się lampką wina. Potem wskoczy pod prysznic, jeśli on jeszcze tam będzie. Znalazła korkociąg, otworzyła butelkę zinfandela\* i nalała sobie kieliszek. Chłodny, malinowy aromat wypełnił jej usta i spłynął do gardła.

*\* Zinfandel - to odmiana winorośli charakterystyczna dla Kalifornii. Produkowane i niej wina uchodzą w Ameryce za jedne z najlepszych trunków rodzimej produkcji. (przyp. tłum.).*

Ten człowiek zna się na winach.

Pociągnęła jeszcze kilka łyczków, nalała drugi kieliszek dla Lucasa i skierowała się do sypialni. Jeśli chciała go zaskoczyć, musiała zdjąć te hałaśliwe buty. Zrzuciła sandaalki koło szafki w przedpokoju. Po kolejnym łyku wina ściągnęła bluzkę przez głowę i cisnęła na lśniący, wiśniowy blat. Strąciła przy tym stertę poczty ułożonej na jego drugim końcu.

Rzuciła się, by powstrzymać lawinę kopert, ale skończyło się to tylko rozsypaniem ich po całym holu. Uklękła i zaczęła zbierać.

Andvari. Znajoma nazwa zatrzymała ją w pół ruchu.

List zaadresowano: D. Stone, Andvari Inc.

D. Stone. Daniel.

Nie szukała w internecie informacji o Danielu Stonie, wyłącznie o Lucasie Stonie.

Mówił, że jest właścicielem kilku firm. Najwyraźniej Andvari była jedną z nich. A skoro Teckitron to jej filia... Jakby dla potwierdzenia jej wniosków jedyny

list, który nie spadł z blatu, był od prezesa Teckitronu.

Miała chęć otworzyć go i przeczytać, by sprawdzić, czy zawiera informacje o wykupieniu kredytu LRK, ale inna koperta, która poleciała nieco dalej na korytarz, przykuła jej uwagę. Podeszła do niej na trzęsących się nogach. Jej ręka zawisła o cal od koperty. Poczowała mróz ścinający jej krew w żyłach. Adres zwrotny do Mardi Gras Cruising.

Ciemne płatki zawirowały jej przed oczami.

Mardi Gras. Firma gotowa przejąć wszystko, co miał Everett Kincaid.

Wszyscy wrogowie LRK powiązani są z Lucasem Stone'em.

Miała jednoznaczny dowód na słusność przypuszczeń Randa.

To osobista zemsta.

Bardzo osobista, bo ze względu na stanowisko to ona miała najwięcej kłopotów z powodu machinacji Andvari. To ona musiała w pocie czoła, w bezsenne noce, w osiemnastogodzinne dni pracy wyszukiwać zastępczych dostawców dla statków.

Lecz dlaczego? Dlaczego Lucas to robił?

Jej ojciec mógł zniszczyć ich małżeństwo, ale dał Lucasowi dwa miliony dolarów, które ten najwyraźniej pomnożył i zapewnił sobie bardzo wygodne życie.

Jeśli to z powodu przekonania, że jednaście lat temu go zdradziła, dlaczego teraz, gdy znał już prawdę, podnosił stawkę i dążył do przejęcia całej firmy?

Czyżby aż tak jej nienawidził?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Drzwi kabiny prysznicowej otwarły się gwałtownie. Lucas odwrócił się błyskawicznie i otworzył oczy.

- Nadiu. - Tęsknił za nią.

Stała przed szklaną klatką, częściowo rozebrana, bardzo atrakcyjna w skąpym, cielistym staniku, krótkiej, nieco ciemniejszej spódnicy i boso.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Przyłączysz się?

- Ty draniu!

Po tym okrzyku spojrzał na jej twarz, wykrzywioną w furii. Rzuciła w niego czymś trzymanym w ręce. Dłuższą chwilę zajęło mu zorientowanie się, co to było. Listy?

Wokół odpływu krążyła koperta od Mardi Gras.

Niech to szlag!

Znalazła zostawioną przez asystenta przy wejściu pocztę, której nie załatwił, bo poszedł najpierw pod prysznic, a Nadii spodziewał się dopiero za kilka godzin. Ella musiała ją wpuścić.

- Nadiu...

- Nie nazywaj mnie tak, zakłamany łajdaku!

- Mogę ci wszystko wyjaśnić.

- Jak wyjaśnisz zamienienie mojego życia w piekło? Zacząłeś jedenaście lat temu, a przez ostatnie cztery lata pogłębiałeś to dzień po dniu, tydzień temu wieńcząc to wykupieniem kredytu LRK. Czy choć raz pomyślałeś o mnie, czy też robisz to wszystko tylko dla osobistych korzyści? A może to Rand ma rację i chodzi o prymitywną zemstę?

Rand też jest w to zaangażowany?

- Jesteś egoistycznym, sadystycznym dupkiem, Lucasie Danielu Stonie! I

niedobrze mi, jak pomyślę, że naszego syna nazwałam twoim imieniem.

Jej słowa pozbawiły go oddechu, wywołały zawroty głowy. Oparł się o zimne płytki. Nazwała ich syna jego imieniem. Wiedza o tym czyniła stratę jeszcze dotkliwszą.

Odwróciła się i wyszła.

Przeskakując przez mokre koperty złapał po drodze ręcznik, owinał nim biodra i rzucił się za nią. Dopadł ją tuż przy drzwiach wyjściowych. Zarzuciła już na siebie bluzkę, w jednej dłoni miała torbę, drugą, pobielającą, ścisnęła gałkę u drzwi. Otworzyła je szarpnięciem.

Zatrzasnął je z powrotem uderzeniem dłoni.

- Nadiu, pozwól mi wyjaśnić.

Choć w tej chwili nie miał bladego pojęcia, jak ją skłonić do zrozumienia jego potrzeby zniszczenia jej ojca albo w zastępstwie całej jej rodziny.

- Odsuń się. Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

Jej słowa ociekały jadem, ale drżenie głosu i warg mówiły co innego.

Skrzywdził ją. Uniósł dłoń do jej policzka. Odsunęła się gwałtownie i zamierzyła się na niego torbą. Uchylił się i opuścił rękę.

- Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Ale właśnie to zrobiłeś. Pokazałeś mi, jak może być dobrze, by potem to odebrać. Tym razem zrobiłeś to rozmyślnie. Kochałeś się ze mną i sprawiłeś, że znów cię pokochałam. A w tym samym czasie knułeś, jak odebrać mi wszystko, co dla mnie cenne. Ponownie.

Kochała go. Nie kłamała. Ból w jej oczach to potwierdzał.

- Moja zemsta, jak to nazwałeś, była wymierzona w twojego ojca. Nie w ciebie.

- On jest martwy! Tak samo jak teraz moje uczucia do ciebie!

Kłamstwo. Miała zaciętą minę, musiał jednak znaleźć sposób, by ją zatrzymać tak długo, aż wszystko załagodzi. Nie mógł jej pozwolić odejść.

- Co zamierzasz zrobić? Uciec do Miami i podać mi wszystko na talerzu?

Jej oczy były jak wymierzone w niego lufy dubeltówki.

- Sukinsyn.

Nawet nie wiedziała jaki.

- Za dobra jesteś na to. Zbyt silna. Pokaż mi odwagę i spryt tej kobiety, która wymanewrowywała mnie za każdym razem, gdy wykupiłem kolejnego dostawcę LRK. Pokaż tkwiącego w tobie wojownika. - Był strasznie napięty. - Chyba że się zgadzasz na to, by bracia stracili wszystko.

Pobladła jak papier. Drżała z wściekłości. Biała smuga pojawiła się wokół jej zaciśniętych ust. Nie zdziwiłby się, gdyby go w tej chwili zatłukła gołymi rękami.

- Mam nadzieję, że będziesz się smażył w piekle obok mojego ojca.

- Już w nim byłem. Leżąc w szpitalnym łóżku, wiedząc, że zabiłem nasze dziecko, że żona mnie już nie chce, że najpewniej nigdy już nie będę chodzić. Tak bywa, kiedy się bawi w grę zwaną życiem. Gram, żeby wygrać, i robię to fair. Gdybym walczył nieczysto, pozwoliłbym ci tamtej nocy, kiedy się kochaliśmy, przespać termin godziny policyjnej.

- Jakże wspaniałomyślnie z twojej strony. - Ból w jej oczach był nie do zniesienia. - Tamtego dnia straciłam wszystko, Lucasie. Ukochanego mężczyznę. Nasze dziecko i szanse na posiadanie kiedykolwiek następnego. Miesiąc później odkryłam, że moja matka wolała się zabić, niż mnie kochać. Zostawiła mnie, jakbym nie miała dla niej żadnego znaczenia. Ty postąpiłeś tak samo. Straciłam wszystko, co ważne, czego żadne pieniądze nie są w stanie kupić. Nie mów mi więc o piekle, życiu czy walce. Albo o zabawianiu się w jakieś rozgrywki. Przeżyłam, walczyłam i nie robiłam nic innego, tylko grałam. Bo musiałam albo skończyłabym tak samo jak moja matka. I wierz mi, były takie dni, kiedy poważnie traktowałam śmierć jako najlepsze wyjście, bo uważałam, że nie mam po co żyć.

Zaśmiała się bez śladu wesołości.

- Zapomniałam o jednym. Ty nie masz sumienia. Wiedza, że ponad cztery lata



przeżyłam, żałując, że nie umarłam w tym samochodzie razem z tobą, dla ciebie nie ma znaczenia. Chciałeś wiedzieć, dlaczego nie pojechałam do Nowego Jorku studiować projektowanie? Bo uważałam, że nieistotne jest, co studiuję. I tak nie zamierzałam dożyć do magisterium. Byłam zbyt zajęta szukaniem sposobu wzbudzenia w sobie odwagi wystarczającej do popełnienia samobójstwa.

Szarpnęła za drzwi. W szoku wywołanym jej słowami nawet nie drgnął.

Przeszła hol, wcisnęła klucz do zamka i rzuciła mu przez ramię wściekłe spojrzenie.

- Trzymaj się ode mnie z daleka. Albo załatwię sobie sądownie zakaz zbliżania się, a potem opowiem prasie, jakim złym, samolubnym i podstępny dupkiem jesteś.

Zatrasnęła za sobą drzwi. Zasuwa trzasnęła niczym wystrzał.

Lucas zatoczył się. Nadia myślała o samobójstwie. Gdyby odebrała sobie życie, byłaby to jego wina.

Była w pułapce.

Nadia skuliła się w fotelu, w rogu tarasu, najdalej od apartamentu Lucasa, jak się dało. Nie mogła wyjechać z Dallas, bracia na nią liczyli, biblioteka. Sama na siebie też. Ucieczka od kłopotów i proszenie innych o pomoc już nie wchodziło w grę. Ojciec miał rację: czas dorosnąć.

Chyba po raz pięćdziesiąty wzięła do ręki komórkę. Musiała zadzwonić, tylko że był to najtrudniejszy telefon w jej życiu. Musiała zawiadomić brata, że ponownie przegrała. Ponownie została zdradzona. Ponownie wykorzystana, bo mogła coś komuś dać. Nic nowego.

Przypominała sobie każdą rozmowę z Lucasem, roztrząsając każde zdanie, usiłując dojść, czy nieświadomie podała mu jakąkolwiek poufną informację, którą mógłby wykorzystać do zaszkodzenia LRK. Nie wiedziała.

Odetchnęła bardzo głęboko i wcisnęła klawisz szybkiego wyboru.

- Rand Kincaid. - Chyba go obudziła. Jest aż tak późno? Nie miała pojęcia.

- Tu Nadia. Przepraszam, że tak późno.

- Co się stało? - Z jego głosu znikły wszelkie ślady zaspania.

- Miałeś rację. To osobista zemsta. Lucas stoi za Andvari, Teckitronem i Mardi Gras.

Rand zaczął kląć jak jeszcze nigdy. W tle słyszała głos Tary, a potem odpowiedź brata. Nie rozróżniała słów.

- Powiedz, co wiesz.

Podsumowała odkrycia tego popołudnia. Rand nie popędzał jej, pozwolił nieśkładnie relacjonować wszystko. Kiedy skończyła, oparła się bezwładnie o ścianę, bez tchu, wyprana z energii...

- Nadiu, dobrze się czujesz? Wyczarteruję samolot...

- Nie! Nie poddamy się, żeby oddać temu łajdakowi wszystko walkowerem! Ja zostaję tutaj, ty tam. Będziemy walczyć do końca.

- Co mam zrobić?

- Nic. Dbajcie z Mitchem o interesy najlepiej, jak potraficie. Mnie nic nie będzie.

W głowie obijały jej się pytania, które zadawała sobie od chwili, gdy opuściła apartament Lucasa.

- Dlaczego on to robi, Rand? Dlaczego tata zagroził oddaniem wszystkiego człowiekowi, któremu zapłacił za zniknięcie z mojego życia? Dlaczego woli Lucasa od własnych dzieci? Musiał wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Tata miał skrzywioną osobowość. Nie da się zrozumieć jego poczynań. Ale zgadzam się, że to się wydaje bardziej szalone niż wszystko, z czym się dotychczas spotkaliśmy. Gardził Stone'em. Częściowo dlatego, że uważał go za łowcę posagów, a częściowo z powodu niemożności pogodzenia się z tym, że stracił okazję do tłamszenia ciebie.

Zamrugnęła, prostując się.

- Tłamszenia?

- Ojciec utrudniał ci wszystko, Nadiu. Przypominałaś mu mamę, wyglądasz jak ona. Twój głos, twój śmiech są prawie takie same jak jej. Masz też takie same jak ona zdolności artystyczne.

Rand mógł to wiedzieć. Miał czternaście lat, gdy ich matka zmarła, mógł ją dobrze pamiętać. Nadia miała niewiele wspomnień o niej, w dodatku bardzo przeciwnych. Czasem matka ją uwielbiała, a czasami robiła wrażenie, że nie może znieść jej widoku.

- Kiedy miałaś dwanaście lat i próbowano cię porwać, tata jakby oszalał. Potem chciał cię mieć cały czas na oku.

- Zauważyłam to.

- Prawdopodobnie ten stary drań nikogo nie mógłby kochać bardziej niż ciebie.

- Tak sądzisz? Bo nic na to nie wskazywało.

- Wiem. - Rand odchrząknął. - Jesteś pewna, że... nic ci nie jest?

Dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Zdradziło go to wahanie. Zbyt wiele razy w przeszłości miał okazję się przekonać, jak bywała nieodporną w rozpacz.

- Spokojnie, nie mam depresji, jestem tylko wściekła jak wszyscy diabli. I lepiej, żeby Lucas nie wszedł mi w drogę.

- A jeśli chodzi o niego...

- Nim się nie przejmuj. Teraz, kiedy wiem, na czym stoję, wiem też, jak sobie z nim poradzić.

Odważne słowa, ale łgarstwo w żywe oczy. Jednak najmniejsza z jej strony wzmianka o słabości, a obaj bracia natychmiast znajdą się w Dallas, a Lucas, ten kłamca, dostanie wszystko. Na to nie mogła pozwolić.

Sama wymyśli co robić. To jej bitwa, wygra ją na swojej ziemi i na własnych warunkach.

- Masz odwagę, że się tu pokazujesz, Stone - warknął Rand.

Lucas nie spodziewał się ciepłego przyjęcia w znajdującym się w Miami biurze Linii Rejsowych Kincaid. Raczej ciosu w twarz, jeśli w ogóle uda mu się przeдрzeć przez ochronę i recepcjonistkę. Sądząc po spojrzeniach, jakimi zza stołu konferencyjnego mierzyli go obaj bracia, i tak mógł oberwać, zanim wyjdzie z budynku.

- Co z Nadią?

To były długie dwa tygodnie. Kiedy pukał, nie otwierała, nie rozmawiała z nim, gdy mijali się w holu. Odmawiała przyjęcia przysyłanych poczęstunków i kwiatów.

- Nie twój interes - rzucił Mitch.

- Ochroniarz nie jest potrzebny, nie zamierzam jej krzywdzić. - Któryś z nich zatrudnił wielkiego jak góra mięśniaka. Nadia nie ruszała się bez niego z domu.

Denerwowało go, że choć znajdowała się tak blisko, była równie niedostępna, jakby przebywała na innym kontynencie.

- Czego chcesz? - warknął Rand.

- Zawrzeć układ.

Krótkie przekleństwo i ruch dłoni starszego Kincaida wcale Lucasa nie zaskoczyły. Wiedział, że jego obsesyjna, egoistyczna potrzeba zemsty głęboko zraniła Nadię. Jej bracia nigdy o tym nie zapomną. Gdyby chodziło o jego siostrę, reagowałby tak samo.

Nie oczekiwał, że naprawienie krzywd i uzyskanie przebaczenia przyjdzie łatwo. Znalezienie jakiegoś wyjścia z koszmaru stworzonego przez testament Everetta Kincaida zajęło mu dziesięć długich dni pełnych spotkań z prawnikami i doradcami biznesowymi.

- O ile wiem, jeśli którykolwiek z warunków testamentu waszego ojca nie zostanie spełniony, Mardi Gras Cruising zostanie właścicielem całego jego majątku. Dobrze mówię?

Rand pochylił się do przodu ze złością.

- Skąd to wiesz?

- Częściowo od Nadii. Reszty dowiedziałem się, czytając kopię testamentu.

- Sukinsyn - prychnął Mitch. - Jak zdobyłeś kopię? Jeszcze nie upubliczniono testamentu.

- O ile wiem, wasz ojciec mawiał, że każdy ma swoją cenę oraz swój słaby punkt i jeśli wystarczająco dobrze się poszuka, zawsze się je odkryje. Everett wykorzystał moją słabość i odkrył moją cenę. Popeliłem błąd, biorąc pieniądze i porzucając Nadię. Zraniłem ją. Tego już się nie odwróci. Powody, dla których przyjąłem łapówkę, są teraz nieistotne. Nie chcę usprawiedliwiać głupiego, chciwego tchórza, jakim się okazałem.

Dwie pary wysoko uniesionych brwi powiedziały mu, jak ich zaskoczył.

- Moja zemsta dotyczyła waszego ojca, ale Nadia przypomniała mi, że on nie żyje. Czas z tym skończyć. Chcę wam sprzedać Mardi Gras.

Obaj bracia unieśli głowy identycznym ruchem. Przykuł ich uwagę. Wykorzystując ich osłupienie, zwolnił zamki teczki i wyjął plik dokumentów. Pchnął je w stronę Mitcha po blacie.

- Moi prawnicy przygotowali kontrakt.

- Dlaczego? - zapytał Rand podejrzliwie.

- Jeżeli LRK będą właścicielami Mardi Gras Cruising, wówczas niezależnie od tego, czy wypełnicie warunki testamentu czy nie, LRK i cały majątek Everetta Kincaida pozostanie w rękach waszej rodziny.

- Masz na myśli, że jeżeli stracimy majątek, to na własną rzecz. Pokrętna logika - odezwał się Rand, przerzucając strony. - Ale może zadziałać. Nasi prawnicy muszą przejrzeć ten kontrakt.

- Oczywiście.

- Nic z tego - odezwał się Mitch. - Nie mamy dość wolnej gotówki, o czym na pewno wiesz, skoro twoja firma wykupiła kredyt LRK. To pusty gest. A gdybyś po

zrealizowaniu tego kontraktu zażądał zwrotu pożyczki, znaleźlibyśmy się w sytuacji gorszej, niż jesteśmy teraz.

- Nie zamierzam żądać spłaty, choć przyznaję, że taki był mój pierwotny plan. Warunki pozostaną jak w oryginalnym dokumencie. A jeśli chodzi o to, czy stać was na ten zakup... chyba nie zwróciliście uwagi na żadaną przeze mnie cenę. Strona pięćdziesiąta. Ostatni punkt.

Po chwili Rand popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Zwariowałeś?

- Wasz ojciec chciał sprzedać cały swój majątek Mardi Gras, czyli mnie, za jednego dolara. Ja tylko uczciwie wyrównałem jego ofertę.

Straci miliardy, ale to się da odtworzyć. Dwa tygodnie bez Nadii dowiodły mu, że są na świecie rzeczy warte więcej niż każde pieniądze.

Mitch zmrużył oczy.

- Gdzie jest haczyk?

Lucas uśmiechnął się, bo haczyk oczywiście istniał. Zawsze jest, jeśli jakiś interes wydaje się zbyt dobry, by być prawdziwy.

- Zwolnijcie mięśniaka. Chcę porozmawiać z Nadią.

- Ona nie chce z tobą rozmawiać.

- Taka jest umowa. Porozmawiam z nią dzisiaj na aukcji dla biblioteki albo wycofuję ofertę. Bierzecie albo nie.

Rand popatrzył na niego z rosnącym szacunkiem.

- Masz jeden wieczór. Jeśli potem nie będzie chciała mieć z tobą nic do czynienia, lepiej się wycofaj.

- Zgoda. - Wyciągnął dłoń nad blatem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Północ już niebezpiecznie blisko, Kopciuszku.

Nadia podskoczyła i odwróciła się raptownie, prawie łamiąc sobie szpilki od Dolce&Gabbany i z trudem łapiąc równowagę, żeby nie wylądować na pośladkach okrytych suknią z tegorocznej kolekcji Badgleya Mischki.

- Odejdź, Lucas. Nie mam teraz dla ciebie czasu.

Unikała go od dwóch tygodni. Jej zupełnie zwariowany rozkład zajęć związany z aukcją na rzecz biblioteki bardzo jej w tym pomagał.

Kiedy dziś spostrzegła go w tłumie, miała ochotę uciec i schować się gdzieś. Bardzo ją bolało, że zakochała się w nim dwukrotnie, dwa razy mu zaufała i za każdym razem wolał pieniądze niż ją. Jednak została, by pełnić obowiązki mistrza ceremonii.

Rozejrzała się po ulicy. Gdzie się podział ten samochód z szoferem, który wynajęła na tę noc? Jeśli szybko nie odszuka, będzie musiała wziąć taksówkę... o ile jakąś znajdzie.

- Odprawiłem twojego ochroniarza - powiedział, jakby czytał w jej myślach.

- Co? Nie miałeś prawa. Potrzebny mi samochód. A może to kolejna intryga mająca na celu pozbawienie mnie majątku ojca?

- Bracia ci nie powiedzieli - oświadczył raczej, niż zapytał.

- Czego?

- Rozmawiałem dziś z nimi.

- Rozmawiałeś z nimi? O czym?

- Odwiozę cię do domu przed północą. Będziesz mi jednak musiała zaufać, Nadiu.

- Jak dotąd świetnie na tym wychodziłam.

- Zaufaj mi - powtórzył, patrząc jej prosto w oczy.

Oddała spojrzenie i wyzwała siebie w myśli od kretynek za to, że jeszcze nie

odesłała go do diabła. Jednak teraz już nie uciekała przed kłopotami, mogła podjąć rzuconą rękawicę.

- Dobrze. Gdzie twój samochód?

- Chodź za mną.

Ruszył z powrotem w stronę budynku. Po chwili podążyła za nim.

- Lucas, muszę jechać. Nie mam czasu na włączenie się tutaj.

- Nasz transport jest na dachu.

- Na dachu? - Stała jak wryta.

- Dokładniej mówiąc na lądowisku dla helikopterów.

- Przyleciałeś tu helikopterem?

- Byłem dziś poza miastem, a mój lot się opóźnił. Musiałem się pośpieszyć.

Samochód? Helikopter? Jakie to miało znaczenie, jeśli tylko dotrze do domu przed północą?

- Chodźmy.

Pojechali na najwyższe piętro, skąd musieli się jeszcze wspiać po krótkich schodach.

- Skąd masz pozwolenie na to?

- Zrobiłem darowiznę. - Otworzył przed nią drzwi.

Rzeczywiście czekał na nich mały, niebiesko-biały helikopter.

- Tak samo jak dzięki darowiźnie kupiłeś mi stanowisko organizatorki aukcji.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Naprawdę myślałeś, że się nie domyślę, kiedy zacznę rejestrować zyski? Tylko pieniądze się dla ciebie liczą, nieprawdaż? Jesteś taki sam jak mój ojciec. Cel uświęca środki i liczy się tylko ostateczny wynik.

Zatrzymał się i popatrzył na nią.

- W swoim dążeniu do zemsty na twoim ojcu tak zostałem opętany obsesją upokorzenia go w taki sam sposób, w jaki on upokorzył mnie, że rzeczywiście stałem się taki jak on. Ale otrząsnąłem się z tego.



Przewróciła oczami.

- Akurat. Wzięcie dwóch milionów to rzeczywiście skrajne upokorzenie.

- Zmusił mnie, żebym go błagał, do cholery! - rzucił gwałtownie, a potem odwrócił wzrok, jakby żałował tych słów. - Everett dopilnował, żebym się dokładnie dowiedział, że jestem ciężarem. Dla ciebie, dla mojej rodziny. Wspomniał nawet o złożeniu na policji doniesienia, że jestem winien nieumyślnego zabójstwa naszego dziecka. To oznaczałoby poważne koszty sądowe i pobyt w więzieniu. Zanim ze mną skończył, błagałem go o pomoc, dowolną.

To było podobne do jej ojca intryganta. W porządku, rozumiała, jak coś takiego może zranić męską dumę. Ale świadome niszczenie jej rodzinnej firmy...?

- Tylko odwieź mnie do domu, Lucas.

Pomógł jej wsiąść. Niełatwe to było zadanie w długiej sukni i na wysokich obcasach. Siedzenia były głębokie, skórzane, wewnątrz wyłożono drewnem. Metaliczne podzwanianie zwróciło jej uwagę. Lucas miał na palcu kółko, z którego zwisały dwa kluczyki i emblemat Mercedesa.

- Co to?

- Prezent dla ciebie. Gratulacje z okazji zdania egzaminu i otrzymania prawa jazdy.

- Skąd wiesz?

- Bo na tyle mnie obchodzisz, że sprawdziłem. Jestem z ciebie dumny, Nadiu. To wymagało odwagi.

- Proszę, nie. Przestań mnie karmić kłamstwami.

- Nie robię tego.

Odgłos wirnika zmienił się. Wykorzystała to jako pretekst do spojrzenia w okno. Była na siebie wściekła, że chciała mu wierzyć. Zobaczyła ich budynek i spojrzała na zegarek. Jeszcze dwadzieścia minut. Lucas nie kłamał, mówiąc, że dostarczy ją do domu na czas.

Poczuła niemiłą sensację w brzuchu, gdy helikopter opadł i delikatnie siadł na

lądownisku. Silnik zaczął zwalniać. Lucas otworzył drzwi i podał jej rękę. Potem, choć próbowała wyrwać dłoń, nie puścił jej. Powiedział do pilota coś, czego nie dosłyszała, po czym poprowadził ją w stronę drzwi. Chwilę później stali przed drzwiami jej mieszkania.

- Zaproś mnie do środka.

Powinna odmówić. Była zmęczona i emocjonalnie rozchwiana. Ale skoro ją podwiózł...

- To był męczący dzień. Możesz wejść, ale tylko na parę minut.

Poszedł za nią do salonu. Rozejrzał się, jakby się spodziewał czyjejs obecności.

- Napijesz się czegoś?

Wcisnął rękę do kieszeni.

- Nie. Chcę przeprosić za niedocenienie ciebie jedenaście lat temu. Prawda jest taka, że nieporadzenia sobie z sytuacją spodziewałem się nie po tobie, tylko po sobie. Oczekiwałem, że mnie odrzucisz, więc zrobiłem to pierwszy. Próbowałem ocalić mizerne resztki dumy, jakie mi jeszcze zostały.

Jego szczerość ją zdumiała.

- Bałeś się.

- Byłem przerażony. Lecz nawet w połowie nie tak, jak w chwili, gdy mi powiedziałaś, że nosiłaś się z zamiarem popełnienia samobójstwa. Nadiu... Nie przeżyłbym, mając cię na sumieniu.

- Miałam pomoc. Profesjonalną. I rodzinę.

- Powinnaś była mieć mnie.

- To byłoby miłe. Pomogliśmy sobie nawzajem przetrwać trudny okres.

- Nigdy nie myślisz o... - przerwał, jakby nie był w stanie wydusić z siebie nic więcej.

Rozumiała jego reakcję.

- Nie. Te mroczne dni już minęły. Lekarze są przekonani, że w moim przy-

padku przyczyną była mieszanka rozpacz i depresji pourazowej. Teraz już jest dobrze. Naprawdę.

Uniósł rękę i pogłaskał ją po policzku. Nie miała siły, żeby się odsunąć.

- Nadiu, nie mogę się cofnąć w czasie i naprawić zła, które wyrządziłem, lecz przysięgnę ci, że już zawsze będę cię doceniał i nigdy świadomie nie dokonam wyboru, który mógłby cię skrzywdzić. Daj nam drugą szansę. Potrzebuję ciebie, jako części mojego życia. Już nie chcę się mścić. Wiedziałem, że robię źle, że jestem tchórzem, nie spotykając się z tobą. Nie potrafiłem przyjąć jak mężczyzna twojego odrzucenia. Walcząc o to, by stanąć z powrotem na nogach, jakoś sam siebie przekonałem, że przejęcie LRK, pokonanie twojego ojca, upokorzenie go w jakiś sposób przywróci mi utraconą wiarę w samego siebie.

Przygryzła wargę, powstrzymując się przed okazaniem współczucia.

- Mój ojciec skrzywdził wielu ludzi.

- Skrzywdził ciebie. Tego nie potrafię mu wybaczyć.

- Lecz dlaczego grozi oddaniem wszystkiego tobie, jeśli nie będziemy tańczyć jak nam zagra?

- Nie mam pojęcia. Mogę tylko zgadywać, że śledził mnie starannie i obserwował moje postępy. Może nagradza mnie za to, że stałem się taki sam jak człowiek, którym gardzę? - Ujął ją za ramiona. - Lecz już taki nie jestem. Kocham cię, Nadiu. Chyba nigdy nie przestałem.

Zachłysnęła się od nadmiaru uczuć obudzonych tymi słowami.

- Kocham twoją determinację, twój upór, twoją chęć spróbowania wszystkiego. Lecz mam nadzieję, że spróbujesz i mnie. Dwa razy. Że dasz mi drugą szansę naprawienia, co się da. Naprawienia tego, co jest pomiędzy nami.

Czy odważy się zaufać mu jeszcze raz? Już nie była tą samą dziewczyną co kiedyś i nigdy nie będą mogli wieść takiego życia, jak planowali.

Zadzwoiła jej komórka. Zignorowała ją, ale odezwała się ponownie. I jeszcze raz.

- Odbierz.

Spojrzała, kto dzwoni.

- To Rand. Oddzwonię później.

- Odbierz - poprosił z większym naciskiem.

- Czego! - warknęła w telefon.

- Jesteś ze Stone'em?

- Tak. A o co chodzi?

- Daj mu dolara i powiedz, że umowa zawarta.

- Co?

- Po prostu zrób to, Nadiu. On ci wyjaśni. - Rand przerwał połączenie.

Gapiała się na aparat. To było co najmniej dziwne.

- Co to znaczy?

Lucas uśmiechnął się leciutko.

- Pożyczyć ci dolara?

- Tyle mam. Ale dlaczego mam ci go dać?

Wyciągnął tylko otwartą dłoń.

Pomrukując z frustracji, Nadia wygrzebała z torebki dolara i wcisnęła mu do ręki. Mocno. Schował banknot do kieszeni.

- Dziś byłem w Miami, by zawrzeć umowę z twoimi braćmi.

Podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Jaką umowę?

- LRK są teraz właścicielem Mardi Gras Cruising, a raczej będą, gdy papiery zostaną podpisane i poświadczone notarialnie.

- Co takiego?

- LRK kupiły Mardi Gras za jednego dolara, cenę, którą twój ojciec wyznaczył za swój majątek. Kiedy transakcja zostanie zakończona, będziesz się mogła wynieść z tego apartamentu. Będziesz wolna.

- Nie rozumiem. Dlaczego miałbyś sprzedawać firmę z wielomiliardową stra-

tą? Co z tego masz? - To wszystko nie miało sensu. Zaledwie dwa tygodnie temu Lucas chciał zniszczyć LRK.

- Jakie jest stare powiedzonko? Jeśli kogoś kochasz, pozwalasz mu odejść? Nie będziesz związana warunkami testamentu ojca, bo jeśli ich nie wypełnisz, wszystko zostanie przekazane Mardi Gras, których właścicielami będą Kincaidowie. Czyli oddacie to samym sobie.

W tej pokrętej logice tkwiło ziarno sensu.

- Czy to legalne?

- Według najlepszych prawników, jakich zdołałem opłacić, owszem. Jestem też pewien, że twoi bracia przepuścili całą umowę przez bardzo gęste sito prawnicze, zanim wyrazili zgodę.

- Sprzedałeś firmę za dolara, żeby mnie uwolnić?

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, Nadiu. Ze mną czy beze mnie. Tego zawsze pragnąłem. Nawet gdy oszedłem jedenaście lat temu, taki cel mi przyświecał.

Zamrugła, bo łzy napłynęły jej do oczu. Poczwała gorące smugi na policzkach.

- Zostanę w Dallas do końca wyznaczonego terminu, bo tata spodziewał się, że nie dam rady. Muszę udowodnić i jemu, i sobie, że potrafię sobie poradzić ze wszystkim, co mi życie przyniesie.

- Oto postawa godna kobiety, która przez ostatnie czterdzieści miesięcy wy-ciskała siódme poty z Andvari.

- Nie jestem tą dziewczyną, którą poślubiłeś jedenaście lat temu, Lucasie. Nie mogę ci dać rodziny, której pragniesz. Nie mogę mieć dzieci.

- Dzieci nie są niezbędne do szczęścia.

- Nie wiem nawet, czy mogę ryzykować adopcję. Lekarze mówili mi, że nie mam wady genetycznej mojej matki, powodującej skłonność do psychozy dwubiegunowej, ale jeśli się mylą? Jeśli skończę jako wariatka?

- Powiedziałaś, że nigdy nie dałem ci szansy, byś mogła udowodnić swoją miłość do mnie, bo nie powiedziałem ci, że jestem sparaliżowany. To działa w obie

strony, księżniczko. Nie dajesz mi szansy udowodnienia mojego uczucia do ciebie. Nadiu, będę cię kochał, nawet jeśli skończysz jak twoja matka. Jeśli będzie trzeba, zadbam o ciebie i będę pilnował twojego bezpieczeństwa najlepiej jak potrafię. - Ujął jej twarz w dłonie. - Kocham cię, pozwól mi tego dowieść.

Powiedziawszy to, dotknął wargami jej ust w najdelikatniejszym pocałunku, jaki kiedykolwiek przeżywała. Kiedy uniósł głowę, zajrzała mu w oczy i zobaczyła w nich odbicie usłyszanych przed chwilą słów. Serce jej zabiło, w gardle poczuła łązy szczęścia. Położyła mu rękę na dłoniach.

- Zaryzykuję, ale z tobą, tylko z tobą.

- Wyjdź za mnie.

- Już jestem twoją żoną.

- Wyjdź za mnie ponownie. Tylko tym razem spotkamy się przed ołtarzem jako równi sobie.

- Nidy nie uważałam, że nie jesteś mi równy, Lucasie. Lecz jeśli to dla ciebie ważne, to tak, wyjdę za ciebie jeszcze raz.

# EPILOG

Nadia usiadła za swoim biurkiem w LRK i westchnęła z satysfakcją. Dobrze było wrócić do domu i do pracy. Rok na wygnaniu dzięki towarzystwu Lucasa minął szybko i życie znów było wspaniałe.

Nie, nawet lepsze, bo tym razem miała wszystko: uwielbiającego ją męża, lubianą pracę i rodzinę. Swoją i jego.

Zerknęła na kartkę wciśniętą w wielki bukiet od matki Lucasa i jego sióstr.

*O 19.00 przyjęcie z okazji Twojego pierwszego dnia w pracy. Bądź gotowa na potańcówkę w stylu Stone'ów. Stawiamy martini.*

*Dziewczyny Lucasa*

- Panno Kinc... Pani Stone, przyszedł pani mąż - odezwała się asystentka przez interkom.

- Wpuść go, Ann. - Wstała zza biurka i wyszła mu na spotkanie.

Wszedł Lucas. Kiedy spojrzał na nią, oczy mu rozblęskły, a jej serce mocniej zabiło. Szybko znalazł się przy niej, objął ją i pocałował. Uwielbiała jego pocałunki. Te gwałtowne, te delikatne, te kuszące, ale najbardziej takie jak teraz - obiecujące, że później będzie ich więcej.

- Dobrze minął pierwszy dzień w pracy?

- Znakomicie.

- Gotowa? - Sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę.

Ostatnie słowa od ojca. Zawahała się.

Wkrótce po wypełnieniu warunków testamentu obaj jej bracia otrzymali listy od ojca. Należało oczekiwać, że i ona dostanie. Lucas zaproponował, że odbierze go z biura Richardsa w powrotnej drodze z posiadłości, na której zamierzał skupić wszystkie swoje interesy, jakie miał w Miami.

- Może wolałabyś zrobić to w domu? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Nie, chcę przeczytać słowa taty tutaj, gdzie wciąż czuję jego obecność. Może i nas rozdzielił, ale też połączył z powrotem.

- Zgoda. Lecz wciąż mam pretensje, że na jedenaście lat zostałem pozbawiony ciebie. - Podał jej kopertę.

Okazało się, że w dłoni ma jeszcze jedną.

- Zostawił mi dwa listy?

Potrząsnął głową, marszcząc brwi.

- Ja też dostałem.

- To dziwne. Chyba nikt spoza rodziny nie otrzymał ostatniej wiadomości.

- Kto pierwszy? - spytał.

- Ja, potrzebne mi odpowiedzi.

Zaprowadziła go do miejsca, które nazywał jej oazą. Był to kącik do siedzenia w rogu biura. Kiedy się tu wprowadzała, Lucas pomógł jej zbudować miniogród. Zrzuciła szpilki od Versace i usiadła na sofie. Lucas usadowił się obok, objął ją i przytulił.

Ręce trzęsły się Nadii przy otwieraniu koperty. Odetchnęła głęboko i rozprostowała kartki na kolanach, tak żeby Lucas mógł czytać równocześnie z nią.

*Nadiu,*

*Jeśli czytasz ten list, oznacza to, że pomyślnie przeszłaś ostatni test, któremu poddał Cię Twój stary, a ja najprawdopodobniej znajduję się tam, gdzie mnie odsyłałaś setki razy - smażę się w piekle. Zaslugiwałem na słowne biczowanie przez Ciebie. Za mocno Cię kontrolowałem.*

*Dwie rzeczy mam na swoje usprawiedliwienie. Po pierwsze, Twoja matka, moja ukochana Mary Elizabeth, kazała mi przysiąc, że zadbam o jej małego aniołka. Prawie to schrzaniłem, nieprawdaż? Chyba wiedziała już, że jej nie wystarczy*



*czasu do wykonania tego zadania. Lecz ani przez moment nie myśl, że Cię nie kochała. Nie potrafiła tylko pokonać swoich wewnętrznych demonów. Ja też nie umiałem tego zrobić, choć starałem się z całych sił.*

*Po drugie, na tak wiele sposobów przypominałaś mi ją. Twój śmiech, uśmiech, radość życia i talent artystyczny. Choć jesteś o wiele silniejsza, niż ona kiedykolwiek była. Ledwie przeżyłem jej utratę. Gdybym stracił i Ciebie, nie przeżyłbym tego. A niemal się tak stało i to z powodu mojej głupoty.*

*Chroniąc Cię przed ciemnymi stronami życia, pozbawiłem Cię jednocześnie tych jasnych. Wierzę, że gdybym Ci urządził ślub taki, jakiego by dla Ciebie pragnęła matka, z limuzynami i powozami, nie straciłabyś mojego pierwszego wnuka ani nie otarłabyś się o dno. To poczucie winy zżerało mnie przez resztę moich dni, a pogorszyłem jeszcze wszystko, pozbywając się Stone'a.*

*Mylilem się co do niego, Nadiu. Wiesz, jak ością w gardle staje mi przyznanie się do błędu. Lecz nie powinienem był się bawić w Boga. Kochał Cię, a ja nie miałem prawa odbierać Ci tej miłości. Ale zrobiłem to. Bezwstydnie skopałem leżącego i bezradnego. Dosłownie. Kiedy spoglądam wstecz na swoje życie, tego najbardziej żałuję. Próbując ułatwić Ci życie, okradłem Cię z wielkiej miłości i odmówiłem Ci doświadczenia tego, co przeżyłem z Twoją matką. Choć jej strata strasznie boli, zgodziłbym się na wszystko, byle jeszcze raz przeżyć każdą chwilę z nią spędzoną.*

*Wysyłam Cię do Dallas, gdzie spotkasz Stone'a. To może być za mało i za późno. Lecz muszę spróbować. Szlag mnie trafia, że już mnie nie będzie, żeby zobaczyć rezultat.*

*Mam nadzieję, że ten rok o własnych siłach przynajmniej pokazał Ci Twoją wewnętrzną siłę. Zawsze byłaś wojownikiem. Jedyne z Kincaidów, która walczyła tak samo zaciekle i twardo jak ja. Właśnie dlatego widok Ciebie leżącej bezradnie po wypadku tak mnie załamał. Tak, czepiałem się Ciebie i wykorzystywałem Twoje słabe strony tylko po to, żebyś się podniosła. Jednak przyglądanie się, jak robisz wszystko, kompletnie nie dbając o to, co się stanie, było straszne. Słoną cenę kaza-*

*łaś mi płacić za wykorzystywanie Twoich słabości.*

*Jeśli czytasz ten list u boku Stone'a, to życzę Wam obojgu długich lat szczęścia i radości, a sobie przypiszę zasługę naprawienia mojego największego błędu i połączenia Was z powrotem. Jeśli nie ma go z Tobą, to znaczy, że jest inny, niż myślałem, nie jest Ciebie wart i chrzanić go.*

*Jesteś jednak uparciuchem tak samo jak Twój stary. Jeśli go tu nie ma, a Ty go chcesz, dam Ci ostatnią broń do ręki. Wciąż jesteś jego żoną. Papiery rozwodowe zostały podrobione. Richards ma list potwierdzający to. I znowu miałem dobre chęci, tylko metody były chyba nie najlepsze. Jeśli któreś z was chciało ponownie wziąć ślub, to narobiłem niezłego bałaganu. Lecz uznałem, że skoro taka miłość zdarza się tylko raz w życiu, to mogę to zrobić raczej bezpiecznie.*

*Mam dla Ciebie dwie rady, Nadiu... Po pierwsze, pamiętaj, że jeśli sama w siebie nie będziesz wierzyć, to nikt tego nie zrobi. Mam nadzieję, że ten rok dał Ci tę pewność. Po drugie, przeżywaj wszystko jak najpełniej - i to co dobre, i to co złe - zanim się skończy Twój czas i pozostanie Ci tylko żal za tym, czego nie zrobiłaś i czego nie powiedziałaś. Tak jak mnie.*

*Nigdy Ci nie powiedziałem, że Cię kocham. Teraz nie mam już innej szansy poza bezdusznym tekstem na chłodnym, suchym papierze. Za późno. Za mało.*

*Kocham Cię, dziecinko, i jestem niesamowicie z Ciebie dumny. Twoja mama też by była. Jesteś czymś najlepszym, co się nam z Mary Elizabeth udało stworzyć i zwieńczeniem tego, co w nas obojgu było najlepsze.*

*Twój ojciec*

*Everett Kincaid*

Nadia mrugała gwałtownie, żeby odzyskać wzrok. Przed jej oczami pojawiło się coś białego. Chusteczka Lucasa. Przyjęła ją i osuszyła mokrą od łez twarz.

- Rodzice mnie kochali. Nawet nie wiesz, ile razy się nad tym zastanawiałam.

Lucas przytulił ją mocniej.

- Mówiłem ci, księżniczko, że ciebie nie da się nie kochać.

- Ale tata nie wyjaśnił klauzuli dotyczącej Mardi Gras. Dlaczego wybrał ciebie, a nie własne dzieci?

- Może drugi list to wyjaśni. - Otworzył kopertę i wyjął pojedynczą kartkę.

*Stone,*

*Skrzywdziłem wszystkie swoje dzieci. Ciebie jednak najbardziej, a robiąc to, prawie straciłem córkę.*

*Ironia losu, nieprawdaż? Próbując złamać Ciebie, prawie zniszczyłem osobę, która znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek na świecie, moją córeczkę, lustrzane odbicie mojej Mary Elizabeth i jej oczko w głowie.*

*Śledziłem Twoje postępy przez lata. Chyba miałem nadzieję, że dowiedziesz, że pozbywając się Ciebie, zrobiłem właściwą rzecz. Ale nie zrobiłeś tego. Raz za razem okazywało się, że się mylę. Nic przyjemnego, możesz mi wierzyć.*

*Stone, masz w sobie więcej hucpy niż ja. Bóg mi świadkiem, że nie znam nikogo, o kim mógłbym to powiedzieć. Twoja inteligencja i ambicja przypominają moje, gdy byłem w Twoim wieku. Tylko że ty jesteś bystrzejszy i bardziej cierpliwy.*

*A skoro Twój beznadziejny ojciec (tak, wiem o tym draniu) nie może nic powiedzieć, to ja to zrobię. Jesteś prawdziwym mężczyzną. Pamiętaj, to nie Twój ojciec się liczy, tylko to, kim Ty sam jesteś.*

*Stawiając na pierwszym miejscu swoją rodzinę - owszem, wiem dlaczego wzięłeś moje pieniądze - uświadomiłeś mi błąd, jaki zrobiłem, rozdzielając Cię z Nadią. Ale byłem uparty. Robiłem swoje. A potem pomnożyłeś moje pieniądze, odwróciłeś sytuację i użyłeś ich przeciwko mnie. To wymaga odwagi. Chylę przed tobą czoło.*

*Nie mam wątpliwości, że gdybym nie pilnował każdego twojego kroku, w końcu przypuściłbyś niespodziewany atak na LRK i załatwił nas. Zrobiłem dość*

*błędów, by dać Ci punkty zaczepienia. Dobry jesteś. Skoro mnie już nie będzie, żeby zobaczyć, co się stanie, postanowiłem, że nagrodzę Cię za spryt. Nie będę przeczył, że mam nadzieję, że moje dzieci mają po mnie w genach dość, żeby Ci pomieszać szyki.*

*Uwielbiam porządne, czyste walki.*

*Jeśli poznałeś warunki mojego testamentu, czego jestem pewien, wiesz, jak łatwo możesz wygrać, oszukując. Jeśli czytasz ten list, grałeś uczciwie. Dałem Ci drugą szansę, byś wybrał albo moją córkę, albo moje pieniądze, i postąpiłeś słusznie. Muszę szanować człowieka, który ma wystarczająco mocny kręgosłup moralny, żeby nie pójść na łatwiznę.*

*Ostatnim razem nie grałem z Tobą uczciwie, Stone, i za to przepraszam. Jak widzisz, tym razem było inaczej. Nie poinformowałem rodziny, kim jesteś ani jakie masz zamiary. Zwycięzca bierze wszystko, i tak dalej.*

*Naprawdę przyjemnie było obserwować pojedynek Nadii z Andvari. To było dla mnie dowodem, że jesteście równie dobrzy. Dobry Boże, ta dziewczyna ma to, co mój tata nazywał olejem w głowie. Nie była Ci dłużna, nieprawdaż? Przyglądanie się Wam obojgu na ringu było czystą radością.*

*Żałuję, że nie będzie mnie, żeby zobaczyć, jak się ta bitwa zakończy, bo jestem pewien, że będzie to wyjątkowe przedstawienie.*

*Opiekuj się moją córką, Stone. Kochaj ją i dzieci, jeśli jakieś adoptujecie, do ostatniego tchu. A jeśli tego nie zrobisz, wrócę i będę Cię straszyl.*

*Pozostając z szacunkiem,*

*Everett Kincaid*

Ostatnie zdanie listu rozśmieszyło Nadię. Otarła kolejne łzy, ale uśmiechała się.

- Cały tata.

- Cały czas wiedział, że to ja.

Tylko jedna kwestia w tekście ją zaniepokoiła.

- On uważał, że adoptujemy dzieci.
- Księżniczko, jestem szczęśliwy tylko z tobą.
- Zawsze pragnęliśmy rodziny. Byłbyś takim dobrym ojcem.
- To będziemy hodować złote rybki albo psy.

Odetchnęła głęboko, rozważając krążącą jej po głowie myśl.

- Myślę, że... że podobałoby mi się wychowywanie z tobą dzieci.

Wyraźnie go tym zaskoczyła.

- Może moglibyśmy wynająć matkę zastępczą, by donosiła nasze dziecko?

Albo rozważyć adopcję.

Pogłaskał ją delikatnie po policzku, a jego oczy były pełne miłości.

- Zrobimy, cokolwiek zechcesz. Pamiętaj jednak, że mając tylko ciebie, mam wszystko.

